BIULETYN KWARTALNY
RADOMSKIEGO TOWARZYSTWA NAUKOWEGO
TOM XLIII 2009 ZESZYT 2

Sebastian Piątkowski

Egzekucje publiczne w Radomiu w 1942 roku

wł. Piątkowski

Biuletyn Kwartalny
Radomskiego Towarzystwa Naukowego
tom XLIII 2009 zeszyt 2

Książkę należy zwrócić do dnia

Nr

13 STY. 2014	14 LUT. 2014	
11 CZE. 2014		
06 CZE. 2018	18 WRZ. 2014	
	2018 -02- 03	

niu

eś ręką.
ło?

20 III 1944
pcu polskim]
K. Baczyński

Przygotowanie i druk publikacji zostały sfinansowane z dotacji
GMINY MIASTA RADOMIA

KOLEGIUM WYDAWNICZE
Radomskiego Towarzystwa Naukowego

prof. dr hab. Wiesław Caban, mgr Kazimierz Jaroszek (przewodniczący),
dr Helena Kisiel (sekretarz), prof. dr hab. Waldemar Kowalski,
prof. dr hab. Ryszard Szczygieł, dr hab. Piotr A. Tusiński

Miejska Biblioteka Publiczna Wypożyczalnia Główna w Radomiu
94(438) reg
447278
94(438).082 M/2:
94(100)"1939/1945":
341.322.5

RECENZENT
dr hab. Marek Wierzbicki

SKŁAD KOMPUTEROWY
mgr Cezary Majewski

PROJEKT OKŁADKI
mgr Remigiusz Kutyła

WYDAWCA
Radomskie Towarzystwo Naukowe
ul. Tadeusza Kościuszki 5a
26-600 Radom
www.rtn.radom.pl

© Copyright by Radomskie Towarzystwo Naukowe 2009
Sebastian Piątkowski 2009

DRUK
Drukarnia „BIGA-DRUK" S.C., ul. Tartaczna 16/18, 26-600 Radom

ISSN 01-37-5156

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie 5
Wywiad Armii Krajowej w Radomiu 9
Starcie w Rożkach 12
Pierwsza faza śledztwa 17
Aresztowania 20
Druga faza śledztwa 26
Egzekucje publiczne 29
Kolejna fala represji 38
Zakończenie 43
Aneks 45
Fotografie 63

WPROWADZENIE

Wśród wydarzeń składających się na historię Radomia w okresie okupacji niemieckiej, egzekucje publiczne, przeprowadzone przez nazistów w dniach 12-15 października 1942 r., zajmują miejsce szczególne. Widok szubienic, ustawionych na stacji kolejowej w Rożkach, przed Fabryką Broni i przy drogach wylotowych prowadzących z miasta w kierunku Kielc i Warszawy, zapisał się na trwałe w pamięci radomian. Przetrwały w niej również nazwiska wielu ofiar zbrodni, wśród których nie brakowało znakomitych działaczy społecznych i niepodległościowych. Egzekucje te odbiły się również bardzo szerokim echem w całym okupowanym kraju, a ich opisy – mniej lub bardziej wiarygodne, trafiły na łamy wielu pism konspiracyjnych i do raportów, przekazanych następnie polskim władzom na emigracji.

Pomimo upływu wielu dziesięcioleci od zakończenia wojny, geneza, przebieg i szeroko rozumiane konsekwencje tzw. starcia w Rożkach, stały się przedmiotem zaledwie jednego opracowania o charakterze analitycznym. Jego autor, znany i ceniony radomski historyk-regionalista Jan Franecki, w opublikowanym trzydzieści lat temu tekście, ukazał wnikliwie tło zbrodni i charakter zemsty dokonanej przez Niemców na żołnierzach ruchu oporu oraz ich krewnych, przyjaciołach i znajomych. Jak wskazuje lektura tego opracowania, jego autor miał świadomość, iż wiele pytań związanych z egzekucjami może nie doczekać się już nigdy odpowiedzi. Pojawienie się w obiegu naukowym wartościowych źródeł, które nie były wykorzystywane wcześniej w pracach badawczych sprawia jednak, iż warto podjąć próbę poszerzenia choćby w pewnym stopniu stanu naszej wiedzy w omawianej sferze. Taką właśnie rolę ma spełnić opracowanie, oddawane dzisiaj do rąk czytelników.

Kompletując jego bazę źródłową, starałem się dotrzeć do jak największej ilości materiałów różnej proweniencji. Uwagę zwracają tutaj bardzo wartościowe, bo spisane w zaledwie kilka miesięcy po zakończeniu wojny, zeznania świadków interesujących nas wydarzeń, do których do-

tarli pracownicy Instytutu Naukowo-Społecznego w Radomiu. Chociaż świadectwa te miały posłużyć za materiał do opracowania kroniki miasta w okresie okupacji niemieckiej, cel ten nie został nigdy zrealizowany. Wykorzystano je jednak z powodzeniem w kilka lat później, jako część materiału dowodowego w procesie Dowódcy SS i Policji Dystryktu Radomskiego gen. Herberta Böttchera. Są one przechowywane po dziś dzień w aktach tej rozprawy (zespół Sądu Okręgowego w Radomiu), znajdujących się obecnie w Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie. Wiele interesujących zeznań dotyczących wydarzeń w Rożkach i ich konsekwencji, zgromadzili również pracownicy Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Kielcach, zajmujący się działalnością funkcjonariuszy radomskiej komendy Policji Bezpieczeństwa. Wśród materiałów archiwalnych warto wymienić również akta arkusze ewidencyjne osób osadzonych w więzieniu przy ul. Malczewskiego, przechowywane w zasobie Archiwum Państwowego w Radomiu.

Wiele bardzo ciekawych danych znalazło się również we wspomnieniach świadków wydarzeń, ogłoszonych drukiem w formie książkowej, lub też na łamach prasy lokalnej. Największe znaczenie wśród nich mają bezsprzecznie wspomnienia oficerów wywiadu Armii Krajowej – kpt. Adama Wodeckiego i mjr. Zygmunta Szewczyka. Chociaż ich autorzy nie ustrzegli się subiektywizmu, a niekiedy również błędów merytorycznych, zachowali oni dla potomności ogrom wiedzy o faktach, które nie znalazły jakiegokolwiek odzwierciedlenia w materiałach archiwalnych. Za sukces uznać muszę dotarcie do obszernej i pozostającej przez długi czas w maszynopisie, relacji Józefa Roleckiego, który był uczestnikiem akcji wykradania pistoletów z Fabryki Broni, a następnie świadkiem śmierci wielu swych przyjaciół i znajomych. Z uwagi na znaczną przydatność tego świadectwa do poznania okupacyjnych dziejów Radomia, zdecydowałem się opublikować tę relację w całości, jako aneks do podstawowego tekstu. Wielkim przeżyciem stały się też rozmowy ze świadkami wydarzeń, których dotyczy niniejsze opracowanie: Bożenną Winczewską i Zbigniewem Kubisiakiem.

Starając się, aby opracowanie miało charakter jak najbardziej przystępny dla czytelnika, zdecydowałem się nadać mu konstrukcję problemowo-chronologiczną. W kolejnych rozdziałach omówiłem zatem działalność radomskich struktur wywiadu Armii Krajowej, genezę i przebieg starcia w Rożkach, tryb śledztwa prowadzonego przez niemiecką Policję

Bezpieczeństwa, akcję masowych aresztowań wśród mieszkańców Radomia, przebieg kolejnych egzekucji, a wreszcie drugą falę represji, która spadła na miasto i inne miejscowości regionu. Podkreślić warto, iż kwerendy źródłowe przyniosły bogate dane biograficzne na temat licznych ofiar represji, pozwalające na bliższe zapoznanie się z ich losami przed wybuchem wojny i w okresie okupacji. Oprócz wspomnianej już relacji Józefa Roleckiego, wartościowym uzupełnieniem tekstu są też – publikowane po raz pierwszy - fotografie kilkudziesięciu osób, które straciły życie w – będących przedmiotem niniejszego opracowania – niemieckich akcjach eksterminacyjnych. Wydawnictwo zamykają zdjęcia, wykonane przez żołnierzy ruchu oporu w miejscach kaźni. Za udostępnienie ich pragnę przekazać serdeczne słowa wdzięczności p. Bożennie Winczewskiej.

Sebastian Piątkowski

Wywiad Armii Krajowej w Radomiu

Przedstawienie genezy egzekucji publicznych, przeprowadzonych przez Niemców w Radomiu jesienią 1942 r., nie jest możliwe bez nakreślenia chociażby ogólnego obrazu walki, toczone w tym mieście między polskim ruchem oporu a niemiecką Policją Bezpieczeństwa[1].

Wśród dużych ośrodków miejskich centralnych ziem polskich, w których działały aktywnie struktury konspiracji, Radom był miejscem szczególnie trudnym dla pracy podziemnej. Zjawisko to wiązało się z usytuowaniem w nim siedziby władz dystryktu, a co za tym idzie ze stacjonowaniem tutaj licznych formacji wojskowych i policyjnych, rozbudową okupacyjnego aparatu administracyjnego oraz znaczeniem miasta jako ośrodka gospodarczego, a także węzła komunikacji drogowej i kolejowej. Poważną rolę militarną posiadały również okolice Radomia, gdzie znajdował się m.in. zespół wojskowych lotnisk i lądowisk, a także obozy szkoleniowe dla żołnierzy niemieckich i formacji kolaborantów[2]. Ogromna, bo wynosząca kilka tysięcy, liczba uzbrojonych Niemców – policjantów, żołnierzy i urzędników, których można było zmobilizować w bardzo krótkim czasie do udziału w akcjach represyjnych sprawiała, iż polscy konspiratorzy nie mogli liczyć na skuteczne przeprowadzanie tutaj spektakularnych akcji ze sfery sabotażu i dywersji. Te same uwarunkowania sprawiały jednak, iż najważniejszym polem działalności ruchu oporu stał się wywiad. Odgrywał on szczególną rolę w pracach Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), przekształconego później w Armię Krajową (AK).

---

[1] Policja Bezpieczeństwa (*Sicherheitspolizei*) była formacją, zajmującą się szeroko rozumianym nadzorowaniem ludności m.in. na obszarach okupowanych przez Niemców. Jej częścią składową była Tajna Policja Państwowa (*Geheime Staatspolizei*), zwana potocznie „gestapo", koncentrująca swe prace na zwalczaniu ruchu oporu i działalności komunistycznej.

[2] Por. np. J. Francecki, *Radom w okresie II wojny światowej 1939-1945*, [w:] *Radom. Dzieje miasta w XIX i XX wieku*, red. S. Witkowski, Warszawa 1985, s. 278 i nn.; S. Piątkowski, *Lata wojny i okupacji (1939-1945)*, [w:] *Powiat radomski od średniowiecza do współczesności*, red. S. Piątkowski, Radom 2009, s. 155-194.

Wyjątkowy charakter Radomia jako ośrodka władzy sprawowanej przez okupantów spowodował, iż konspiracyjne prace wywiadowcze były prowadzone tutaj dwutorowo. Z jednej strony realizował je Oddział II Komendy Obwodu AK Radom (na jego czele stał ppor. Wacław Śmiech ps. „Kaktus", a następnie por. Tomaszewski ps. „Bandura" – „Hipolit"), a z drugiej – samodzielna, podległa bezpośrednio dowództwu okręgowemu, ekspozytura wywiadowcza, działająca pod kryptonimem „Sosna"; jej kolejnymi szefami byli: por. Jerzy Ewaryst Żetycki ps. „Andrzej", kpt. Adam Wodecki ps. „Witold" – „Wallenrod" i kpt. Józef Teliga ps. „Habdank" – „Równy"[3].

Dodać należy, iż w Radomiu przebywał też stale komendant służb wywiadu Okręgu AK Radom por./mjr Zygmunt Szewczyk ps. „Bartek", a w mieście pojawiali się często jego zastępcy: por./mjr Mieczysław Bielenin ps. „Ramzes" i por./mjr Jan Górski ps. „Faraon"; u boku dowódcy działała kancelaria, zespół łączniczek, a także grupa osób przeznaczona do realizacji zadań specjalnych[4].

W ciągu całego okresu okupacji w polu zainteresowań żołnierzy wywiadu ZWZ-AK w Radomiu i innych miejscowościach regionu pozostawało:

* Ustalanie dyslokacji jednostek wojskowych i gromadzenie danych na temat obiektów o znaczeniu militarnym. Problematyka ta posiadała bardzo wiele aspektów, jak np. ustalanie liczebności, godeł, składu i przynależności oddziałów wojskowych i policyjnych stacjonujących w poszczególnych garnizonach, rozpoznanie lotnisk wojskowych wraz z ich topografią, obsadą, liczbą i typami posiadanych maszyn, liczbą wykonywanych lotów itp., rozpoznanie obiektów strategicznych (np. mostów, obozów szkoleniowych). Wiązało się z tym ściśle zbieranie wiadomości o transportach wojskowych (zarówno kolejowych i drogowych), co z kolei pozwalało na ustalanie przesunięć poszczególnych jednostek, a tym samym przewidywanie koncentracji większych sił. Interesowano się także nastrojami panującymi wśród żołnierzy niemieckich,

[3] Archiwum Państwowe w Radomiu (dalej: APR), Prokurator Specjalny Sądu Karnego w Lublinie Ekspozytura w Radomiu (dalej: PSSK), 1113. Protokół przesłuchania oskarżonego Adama Wodeckiego, 16 X 1946, s. 84-86.

[4] W. Borzobohaty, *„Jodła". Okręg Radomsko-Kielecki ZWZ-AK 1939-1945*, Warszawa 1988, s. 75.

* Zbieranie materiałów dotyczących produkcji przemysłowej okupanta, przede wszystkim o charakterze zbrojeniowym. Rozpoznanie obejmowało gromadzenie danych na temat wielkości i charakteru produkcji poszczególnych zakładów, liczebności i składu narodowościowego zatrudnionych tam pracowników, personaliów kadry kierowniczej itd.,
* Prowadzenie pracy kontrwywiadowczej. Obejmowało ono ustalanie personaliów donosicieli oraz stałych konfidentów gestapo działających w szeregach podziemia i eliminowanie ich, obserwację punktów łącznościowych, a także na ostrzeganie osób zagrożonych aresztowaniem[5].

Powyższe wyszczególnienie nie obejmuje wszystkich aspektów pracy wywiadowczej i kontrwywiadowczej. Wiemy np., że pracownicy ekspozytury „Sosna" prowadzili tzw. album zbrodniarzy wojennych, gromadząc fotografie i materiały dotyczące hitlerowców szczególnie zaangażowanych w politykę eksterminacyjną oraz konfidentów i współpracowników gestapo; podobną działalność prowadziły również inne komórki konspiracyjne[6].

Jak wskazują źródła, właśnie z ekspozyturą wywiadowczą „Sosna" związana była ściśle grupa żołnierzy AK, zajmujących się w Fabryce Broni w Radomiu nielegalną produkcją pistoletów dla potrzeb ruchu oporu. Były to słynne już w okresie międzywojennym polskie pistolety „Vis", wytwarzane teraz na potrzeby niemieckiej armii. Mechanizm ich pozyskiwania dla konspiracji był stosunkowo prosty. Najważniejszym częściom pistoletów, tzn. chwytom i zamkom, nadawano już na etapie produkcji kolejne numery, wytłaczając je w metalu i ściśle ewidencjonując. Dzięki żołnierzom podziemia udawało się produkować podwójne części o tej samej numeracji, a „dublety" takie trafiały do rąk jednego z majstrów wydziału produkcji – Józefa Saramonowicza. Przekazywał on je współpracownikom, wśród których byli: Kazimierz Bator ps. „Marcin", Stanisław Maj ps. „Jurand", Zbigniew Kubisiak ps. „Mirka", Tadeusz Kosiarski

[5] *Ibidem*, s. 71 i nn.; S. Piątkowski, *Wywiad ZWZ-AK w Okręgu Radomsko-Kieleckim (1940-1945) ze szczególnym uwzględnieniem obwodu radomskiego*, [w]: *Armia Krajowa. Okręg Radomsko-Kielecki. Materiały z sesji naukowej*, red. A. Massalski, S. Meducki, Kielce 1999, s. 71-85.

[6] *„Burza" w Okręgu Radomsko-Kieleckim w świetle dokumentów*, oprac. M. Adamczyk, J. Tomczyk, Kielce 1996, s. 49.

ps. „Fred" i Józef Rolecki ps. „Olek". Trzej ostatni z wymienionych zajmowali się przerzucaniem pistoletów poza teren fabryki, wynosząc je pod ubraniami, lub też wywożąc transportem samochodowym[7]. Podkreślić należy, iż obawiający się działań ruchu oporu Niemcy nie produkowali w Radomiu luf do „Visów", sprowadzając je z innych zakładów. Ponieważ ruch oporu dysponował jednak dużą ilością luf, które zostały wyniesione z Fabryki Broni we wrześniu 1939 r., istniały możliwości składania pistoletów aż do stanu kompletności. Początkowo żołnierze AK przykładali dużą wagę do tego, aby w konspiracyjnych warsztatach usuwać z chwytów i zamków ich numery, będące w razie tzw. wpadki jednoznacznym dowodem, iż w zakładzie produkuje się nielegalnie broń[8]. Po pewnym czasie zaniechano tego jednak tego rodzaju działań zabezpieczających.

Starcie w Rożkach

Wiosną 1942 r. wśród żołnierzy wywiadu AK działających w Radomiu zaczęło narastać przekonanie, iż w ich środowisku znajduje się agent gestapo. Podejrzenia skoncentrowały się wkrótce na Maksymilianie Szymańskim ps. „Maks" – „Relampago"[9], szefie wywiadu Komendy Obwodu Końskie, posiadającym aktywne kontakty z radomską ekspozyturą „Sosna". Zbierany systematycznie materiał dowodowy przekonał dowództwo, iż to właśnie on jest niemieckim konfidentem. W konsekwencji podjęto decyzję, iż „Relampago" musi zostać jak najszybciej zlikwidowany. Sprawujący nadzór nad tą operacją mjr „Bartek" powierzył jej wykonanie por. „Andrzejowi", który miał skompletować grupę likwidacyjną i udać się z nią do Końskich. Do udziału w likwidacji agenta wybrani zostali: por. Zbigniew Gołębiowski ps. „Budrys", por. Mieczysław Wrona ps. „Szymon", Józef Grabosz ps. „Bill", Mieczysław Kapel ps. „Wróbel"

[7] APR, Związek Bojowników o Wolność i Demokrację. Zarząd Wojewódzki w Radomiu (dalej: ZBoWiD. ZWR), 88. J. Rolecki, *Wspomnienia z lat okupacji*, 1970, s. 1-11; Zbiory Sebastiana Piątkowskiego (dalej: ZSP). Zapis rozmowy z Z. Kubisiakiem, 9 I 2008 r.; P. Matusak, *Ruch oporu w przemyśle wojennym okupanta hitlerowskiego na ziemiach polskich w latach 1939-1945*, Warszawa 1983, s. 209-210.

[8] ZSP. Zapis rozmowy z Z. Kubisiakiem, 9 I 2008 r.

[9] Nietypowy pseudonim Maksymiliana Szymańskiego wiązał się prawdopodobnie z jego pobytem w okresie międzywojennym w Ameryce Południowej. W języku hiszpańskim „Relampago" oznacza błyskawicę.

i Tadeusz Stelmaszczyk ps. „Aron". Dnia 18 września „Andrzej" spotkał się z nimi w składzie materiałów budowlanych przy ul. Nowogrodzkiej 5, przedstawiając założenia akcji i wyznaczając poszczególnym jej członkom konkretne zadania. Wówczas to podjęto też decyzję, że wyjazd do Końskich będzie mieć miejsce już nazajutrz[10].

Dnia 19 września 1942 r. członkowie grupy likwidacyjnej spotkali się we wczesnych godzinach rannych na dworcu kolejowym w Radomiu. Konspiratorzy uzbrojeni byli w broń krótką, a niektórzy prawdopodobnie także w granaty. Wśród pistoletów, które zabrano ze sobą na akcję znajdowały się przynajmniej dwa „Visy", złożone z części wyprodukowanych nielegalnie w radomskiej Fabryce Broni. Niestety, numery seryjne ich podstawowych części nie zostały zatarte – fakt ten miał spowodować już wkrótce daleko idące i zarazem tragiczne następstwa. Jedynym nieuzbrojonym uczestnikiem akcji był „Wróbel", który pochodził z Końskich i doskonale znał to miasto. Plan działań przewidywał prawdopodobnie, iż po dotarciu na miejsce to on właśnie spotka się z Maksymilianem Szymańskim i zaprowadzi go w jakieś ustronne miejsce, tak, by „Andrzej" i jego podkomendni mogli bez problemów wykonać wyrok[11].

Na dworcu żołnierze AK kupili bilety, sprzedane im przez wtajemniczonego w przedsięwzięcie kasjera Bolesława Dłużewskiego. Przebieg wydarzeń mających miejsce w ciągu następnych kilkudziesięciu minut nie jest niestety jasny, a w poświęconych mu relacjach występują liczne sprzeczności. Wiemy jednak, iż konspiratorzy wsiedli do pociągu i zajęli miejsca w przedziale. W chwilę potem do pociągu wsiadła również grupa żandarmów, dowodzona przez funkcjonariusza Policji Bezpieczeństwa *SS-Unterscharführera* Bruno Siebeneichlera. Niemcy ulokowali się początkowo w ostatnim wagonie i natychmiast po ruszeniu pociągu zaczęli posuwać się po jego składzie, legitymując pasażerów; towarzyszyli im – ochraniający standardowo transporty – funkcjonariusze niemieckiej straży kolejowej[12].

Warto zatrzymać się w tym miejscu by zadać – jedno z ważniejszych dla omawianej sprawy – pytań: czy Niemcy wiedzieli o przebywaniu

[10] Z. Szewczyk, *Moje wspomnienia z lat okupacji*, [w:] *Życie na krawędzi. Wspomnienia żołnierzy antyhitlerowskiego wywiadu*, red. W. Kozaczuk, Warszawa 1980, s. 282-283.

[11] A. Wodecki (Witold), *Nurty z podziemi. Tragedia w Radomiu i Rożkach*, „Życie Robotnicze", 1945, nr 12, s. 8.

[12] J. Franecki, *Zbrojne starcie w Rożkach i publiczne egzekucje w Radomiu w 1942 roku*, „Biuletyn Kwartalny Radomskiego Towarzystwa Naukowego", t. 17: 1980, s. 4, s. 60.

w pociągu grupy likwidacyjnej AK i ich działania były wymierzone konkretnie w nią, czy też rewizja była standardową procedurą, która przez przypadek dała początek tragicznemu pasmu wydarzeń? Jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie nie uzyskamy prawdopodobnie już nigdy. Kontrole osób podróżujących pociągami zdarzały się bardzo często, a ich celem było wyszukanie przez Niemców pasażerów z niekompletnymi dokumentami i handlarzy z „czarnego rynku". Ekipy kontrolujące miały zazwyczaj skład identyczny z tą, która 19 września operowała w pociągu jadącym do Końskich: grupą żandarmów kierował funkcjonariusz gestapo, typujący osoby do wylegitymowania. Można zatem przypuszczać, że w omawianej kontroli nie było nic wyjątkowego, a Niemcy zamierzali opuścić pociąg na stacji w Szydłowcu i powrócić do Radomia. Już po zakończeniu wojny niektórzy świadkowie wydarzeń zasugerowali, iż Niemcy zdawali sobie doskonale z faktu znajdowania się w pociągu członków grupy „Andrzeja", a akcja miała na celu ich aresztowanie. Uczestnikami tej operacji mieli być gestapowcy przebrani w mundury żandarmerii. Podstawowym argumentem na potwierdzenie tej hipotezy miał być fakt, iż po wejściu do wagonu w którym przebywali żołnierze AK, pierwszą osobą wytypowaną do kontroli stał się Józef Grabosz, pomimo, że w wagonie przebywało wielu pasażerów. Czy jednak gdyby faktycznie Niemcy zamierzali aresztować konkretnych konspiratorów przeprowadziliby akcję w ten sposób? Czy jej dowódcą mianowano by gestapowca w randze odpowiadającej zaledwie stopniowi plutonowego? Czy zamiast żandarmów nie skierowałoby tutaj ekipy składającej się wyłącznie z funkcjonariuszy policji, przygotowanej do starcia z uzbrojonym przeciwnikiem i wzmocnionej „tajniakami" udającymi pasażerów? Pytania tego rodzaju można mnożyć. Jako autor niniejszego opracowania śmiem twierdzić, iż przebieg wydarzeń na stacji w Rożkach wskazuje na przypadkowy charakter spotkania Niemców z żołnierzami AK. Być może już na stacji w Radomiu por. „Andrzej" i jego podkomendni zwrócili jakimiś swych zachowanie uwagę strażników kolejowych, którzy wskazali grupie Siebeneichlera młodych mężczyzn jako wartych szczegółowego skontrolowania. Nie dowiemy się tego już nigdy. Kończąc warto zauważyć, iż teza o niemieckiej zasadzce wskazywałaby, iż w otoczeniu „Andrzeja" znajdował się konfident, który przekazał Niemcom informację o wydaniu wyroku śmierci na Maksymiliana Szymańskiego i datę wyjazdu z Radomia grupy likwidacyjnej.

Wiemy, iż Niemcy wkroczyli do wagonu zajmowanego przez żołnierzy AK na chwilę przed dotarciem pociągu do stacji kolejowej w Rożkach. Jak już wspomniano, ich uwagę zwrócił od razu Józef Grabosz, od którego zażądano dokumentów. Kiedy podał on kennkartę żandarmowi, polecono mu podnieść ręce do góry. Wówczas „Bill" błyskawicznie wydobył pistolet i strzelił do żandarma – jak okazało się później, zabijając go na miejscu. W momencie oddania strzału pociąg znajdował się w ruchu, ale maszynista zastopował jego bieg. Wydarzenia mające miejsce w ciągu kilku następnych minut nie są jasne. Nie wiemy, przede wszystkim, czy inni żołnierze AK oddali strzały do Niemców jeszcze w pociągu, czy też do dalszej wymiany ognia doszło już poza nim. Wszystkim konspiratorom udało się jednak, korzystając z powszechnej już wówczas paniki panującej wśród pasażerów, opuścić wagon i podjąć próbę ucieczki. Już na peronie jeden z Niemców postrzelił śmiertelnie por. „Andrzeja". Jego podkomendni: „Aron", „Budrys", „Szymon" i „Bill" zdołali wyrwać się ze stacji, uciekając przez pola w kierunku okolicznych lasów. Starając się umknąć, ostrzeliwali się z pistoletów, a żandarmi odpowiadali im ogniem karabinowym. Ucieczka ta zakończyła się jednak powodzeniem[13].

Całkowicie odmienną od opisanej powyżej wersję wydarzeń, jakie rozegrały się w pociągu jadącym ku stacji w Rożkach, przedstawił w swych powojennych wspomnieniach mjr Tadeusz Szewczyk ps. „Bartek" . Jako zwierzchnik por. „Andrzeja" był on przekonany, iż dowódca grupy likwidacyjnej i jego podkomendni wpadli w zasadzkę zastawioną przez Niemców, a biorący udział w strzelaninie żandarmi byli w rzeczywistości przebranymi funkcjonariuszami gestapo. „Bartek" opisywał los konspiratorów następująco:

„Po przybyciu na stację i wyjściu na peron przyjęto szyk obronny w kształcie trójkąta i czekano na przybycie pociągu. W ostatniej chwili otrzymano informację, że w rejonie dworca przebywa ośmiu gestapowców, w tym sześciu mundurowych i dwóch po cywilnemu oraz jeden uzbrojony strażnik (Banschutz).

Hitlerowcy byli zaskoczeni. Spodziewali się, że osaczenie „Andrzeja" i jego ludzi będzie nietrudne i do aresztowania wystarczy kilku gestapowców. Rychło jednak doszli do przekonania, że grupa stanowi siłę. Zmu-

[13] *Ibidem.*

siło to [SS]-Hauptsturmführera Fuchsa[14] do wysłania do rejonu dworca zmotoryzowanego odwodu. Zanim nowy oddział dotarł na stację, pociąg już odjechał, a w nim żołnierze AK i śledzący ich gestapowcy. Grupa bojowa wsiadła do ostatniego wagonu, zajmując miejsca zgodnie z planem (...) Gestapowcy rozmieścili swe siły w ten sposób, że w ostatnim, czwartym przedziale, ulokowało się pięciu mundurowych gestapowców i jeden po cywilnemu, a w sąsiednim wagonie jechał Banschutz i cywil – gestapowiec. Gestapowcy wsiedli później niż bojowcy i osaczyli grupę „Andrzeja". Kiedy pociąg minął Młodzianów, zdecydowali się na akcję. Tak rozpoczęła się walka, która toczyła się przez kilkanaście minut w pociągu mknącym na trasie Radom – Rożki. Pięciu umundurowanych gestapowców pod dowództwem oficera w ubraniu cywilnym wkroczyło do pierwszego przedziału. Dowódca wylegitymował por. „Budrysa", sprawdził bilet, rozejrzał się po przedziale i skierował się wraz z innymi gestapowcami do stojącego dalej kpt. „Andrzeja"[15]. Pojawienie się większej grupy umundurowanych Niemców wywołało panikę wśród pasażerów. Gestapowcy prześliznęli się obok dowódcy grupy i wyszli z przedziału. Nawet doświadczeni żołnierze wywiadu odczuli w tym momencie ulgę. Ale „Andrzej" trafnie ocenił, że było to wstępne rozpoznanie grupy przed najbliższą stacją w Rożkach. Gdy pociąg zbliżał się do niej, „Budrys" nagle zameldował, że po jego stronie, po stopniach pociągu skrada się trzech gestapowców z bronią w ręku. To samo stwierdził „Andrzej" po drugiej stronie pociągu, gdzie spostrzegł dwóch gestapowców. Kazał otworzyć ogień. Doszło do gwałtownej walki, najpierw w wagonie, później na stacji w Rożkach. Pierwszy wychylił się z okna „Szymon" i celnymi strzałami strącił ze stopni wagonu pierwszego hitlerowca. Dwóch następnych zwalił z nóg „Budrys". W tym czasie kpt. „Andrzej" rozprawiał

[14] Paul Fuchs był funkcjonariuszem radomskiej komendy Policji Bezpieczeństwa, kierującym wydziałem przeznaczonym do walki z polskim ruchem oporu, uznawanym powszechnie za jednego z najbardziej niebezpiecznych gestapowców w całym Generalnym Gubernatorstwie. Jego działalność omawiają m.in. W. Borodziej, *Terror i polityka. Policja niemiecka a polski ruch oporu w GG 1939-1944*, Warszawa 1985, passim; S. Piątkowski, *Rozmowy SS-Haupsturmführera Paula Fuchsa z przedstawicielami radomskiej delegatury Rady Głównej Opiekuńczej w latach 1943-1944*, [w:] *Na szachownicy dziejów i międzynarodowej polityki. Księga dedykowana Profesorowi Zbigniewowi Brzezińskiemu*, red. J. Faryś, H. Kocój, M. Szczerbiński, Gorzów Wielkopolski 2006, s. 331-341.

[15] Autor wspomnień prawdopodobnie zawyża stopień wojskowy Jerzego Żetyckiego. W większości relacji i wspomnień występuje on jako porucznik. Być może awansowano go do stopnia kapitana już pośmiertnie.

się po drugiej stronie pociągu z dwoma przeciwnikami. Nagle pojawił się w drzwiach wagonu gestapowiec w cywilu z Banschutzem, atakując „Billa" i „Arona", którzy zostali postrzeleni. Z pomocą rannym przybył por. „Szymon". Z bliskiej odległości wystrzelił i trafił w głowę gestapowca, który runął bezwładnie na zbroczoną krwią podłogę. Banschutz rzucił się do ucieczki, ale dosięgnął go strzał z visa „Andrzeja". Pociąg wtoczył się na stację w Rożkach i w tym momencie z peronu padły strzały. Jeden z nich ugodził w głowę dowódcę grupy. (...) Po śmierci „Andrzeja" dowództwo objął por. „Budrys". Pod osłoną visów i wybuchów ręcznych granatów czterem ludziom udało się wyjść z okrążenia"[16].

Trudno jest nawet domniemywać, z jakich źródeł mjr Szewczyk – nie będący przecież bezpośrednim świadkiem wydarzeń - mógł zaczerpnąć tak szczegółowe informacje dotyczące omawianej problematyki. Przeczą im całkowicie relacje pasażerów pociągu, jadącego ku stacji w Rożkach. Nie można wręcz wyobrazić sobie, aby wymiana ognia, podczas której oddano według wspomnień „Bartka" kilkanaście strzałów, nie została zapamiętana przez obecne na miejscu zdarzeń osoby. Nie jest prawdą, że w starciu odniosło rany i postrzały śmiertelne aż siedmiu Niemców, nic nie wskazuje również, aby wycofujący się ze stacji żołnierze AK obrzucali żandarmów granatami.

Pierwsza faza śledztwa

Niemalże natychmiast po zakończeniu wymiany ognia i ucichnięciu odgłosów strzałów, *SS-Unterscharführer* Bruno Siebeneichler i jego podkomendni podjęli szeroko zakrojone działania, mające na celu zatrzymanie przebywających w pociągu osób, mogących mieć ich zdaniem związek ze zbiegłymi żołnierzami konspiracji. W stojącym nadal na stacji w Rożkach składzie rozpoczęła się szczegółowa rewizja pasażerów, podczas której podejrzanych mężczyzn wyprowadzano na peron, każąc im następnie położyć się na ziemi z rękami splecionymi na karkach. Równocześnie – korzystając z telefonu znajdującego się na stacji – wezwano do Rożek grupę operacyjną z Radomia. „Następnie rozpoczęła się ponowna rewizja pociągu – wspominał później jeden ze świadków wydarzeń - Gestapowiec przeprowadzający rewizję w wagonie, którym jechałem,

[16] Z. Szewczyk, *op.cit.*, s. 282-285.

Miejska Biblioteka Publiczna Wypożyczalnia Główna w Radomiu

miał w ręku jakąś kartkę papieru. Osobom podejrzanym gestapowcy kazali wysiąść. Z całego wagonu ja jeden zostałem zatrzymany. Następnie kazano nam, usuniętym z wagonów, położyć się na ziemi. Leżeliśmy tak parę godzin, do czasu, dopóki nie nadeszły posiłki gestapowców i straży kolejowej (Banschutz) z Radomia. Po przybyciu posiłków i samochodów zabrano nas po uprzednim skuciu do Radomia i osadzono nas tymczasem na ul. Kościuszki, po czym po następnym badaniu odtransportowano nas do więzienia (...)[17].

Wiemy, iż Niemcy aresztowali wówczas ok. 10 osób, w większości nie mających jakichkolwiek związków z konspiracją. Wśród zatrzymanych znalazł się jednak członek grupy likwidacyjnej Mieczysław Kapel ps. „Wróbel". Przypomnijmy, iż nie był uzbrojony i w związku z tym nie wziął udziału w starciu. Prawdopodobnie starał się on podczas drugiej rewizji pociągu udawać zwykłego pasażera, licząc, iż Niemcy nie zwrócą nań uwagi. W nieznanych bliżej okolicznościach został jednak rozpoznany, jako osoba siedząca w jednym przedziale wraz z żołnierzami AK. Jak miało się wkrótce okazać, zdobycz okupantów była o wiele większa. W ich ręce wpadła przede wszystkim kennkarta, którą Józef Grabosz wręczył żandarmowi rewidującemu pociąg na chwilę przez oddaniem do niego strzału. Niestety, nie była ona dokumentem fałszywym, ale w pełni oryginalnym, zawierając kompletne dane personalne jej posiadacza wraz z adresem zameldowania przy ul. Wałowej. Kolejne dokumenty znaleziono przy zwłokach por. „Andrzeja". Chociaż jego kennkarta była wystawiona na fałszywe nazwisko Marian Walczak, zawierała dwie informacje w pełni prawdziwe: adres zamieszkania przy ul. Sportowej (por. Żetycki wynajmował pokój u pracownika Fabryki Broni Jana Prokopa) i dane miejsca pracy (skład materiałów budowlanych inż. Jana Nadolskiego przy ul. Nowogrodzkiej). Niemcy znaleźli też przy „Andrzeju" pistolet, a drugiego „Visa" odkryto prawdopodobnie w pociągu lub na peronie. Przypomnijmy, iż oba te pistolety zostały wyprodukowane nielegalnie w radomskiej Fabryce Broni[18].

Prawdopodobnie jeszcze tego samego dnia śledztwo w sprawie wydarzeń mających miejsce w Rożkach rozpoczęła radomska komenda Policji Bezpieczeństwa. Nad przebiegiem prac czuwał bezpośrednio Paul Fuchs, wspomagany prawdopodobnie przez *SS-Hauptsturmführera* Bürgera, kie-

[17] Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej. Oddział w Warszawie (dalej: AIPN Warszawa), Sąd Okręgowy w Radomiu (dalej: SOR), 267. Protokół przesłuchania świadka Mieczysława Rafalskiego, 11 X 1945, s. 84-85.

[18] J. Francecki, *Zbrojne starcie w Rożkach...*, s. 60.

rującego walką z sabotażem w zakładach przemysłowych dystryktu radomskiego[19]. Pod jego nadzorem sprawę prowadził *SS-Unterscharführer* Flath, którego wspomagali funkcjonariusze gestapo o nazwiskach König i Pambalk. Bardzo szybko doszli oni do wniosku, że spośród ludzi aresztowanych na peronie rożkowskiej stacji, jedyną osobą mającą bezpośredni związek z konspiratorami jest Kazimierz Kapel. Poddano go w związku z tym intensywnym przesłuchaniom, opartym na biciu i wymyślnych torturach[20]. Od innych więźniów Niemcy identycznymi metodami starali się wydusić informacje o znajomości z Graboszem. Jak wspominał później jeden z więźniów zatrzymanych w Rożkach, Mieczysław Rafalski: „Podczas badania na Kościuszki bezpośrednio po aresztowaniu nas, kazano nam się położyć na podłodze i bito nas kijami i nahajami. Przez ścianę słychać było uderzenia i jęki dochodzące z sąsiedniego pokoju i pytanie: „Czy znasz Grabosza?"[21].

Prowadzący śledztwo gestapowcy zainteresowali się niestety również dwoma pistoletami marki „Vis", które wpadły w ich ręce. Prawdopodobnie nie przypuszczano, że sprawdzenie ich numerów przyniesie tak zaskakujące efekty. Okazało się, że broń posiada identyczną numerację z dwoma pistoletami służbowymi, znajdującymi się w niemieckim posiadaniu; jeden z nich był użytkowany przez funkcjonariusza miejscowej komendy Policji Porządkowej (*Schutzpolizei*), natomiast drugi – przez funkcjonariusza Policji Polskiej tzw. granatowej. Dowodziło to jednoznacznie, iż w radomskiej Fabryce Broni produkowane są w sposób konspiracyjny pistolety, wynoszone następnie poza zakład, pomimo sprawowania nad nim ścisłego – jak wydawało się Niemcom – nadzoru. Odkrycie to rozszerzyło znacznie zakres śledztwa, zacieśniając z pewnością współpracę gestapo ze służbami Kontrwywiadu wojskowego. Przyniosło ono również dużą nagrodę dla wspomnianego już kilkakrotnie dowódcy patrolu żandarmerii, kontrolującego pociąg jadący w kierunku Rożek, *SS-Unterscharführera* Bruno Siebeneichlera. Wkrótce, na wniosek Naczelnego Dowództwa Niemieckich Sił Zbrojnych, został on odznaczony Krzyżem Żelaznym II klasy. Był to jedyny w dziejach okupacji przypadek uhonorowania tak wysokim odznaczeniem wojskowym funkcjonariusza Policji Bezpieczeństwa w Radomiu[22].

[19] P. Matusak, *op.cit.*, s. 210.

[20] A. Wodecki (Witold), *op.cit.*, s. 8.

[21] AIPN Warszawa, SOR, 267. Protokół przesłuchania świadka Mieczysława Rafalskiego, 11 X 1945, s. 84-85.

[22] J. Francecki, *Zbrojne starcie w Rożkach...*, s. 60-61.

Co działo się jednak z żołnierzami AK, którym po wymianie ognia udało się opuścić pociąg i rejon stacji kolejowej w Rożkach? Oddajmy głos mjr. „Bartkowi", który po latach wspominał: „Porucznik „Budrys" postanowił czym prędzej dostać się do Radomia i ostrzec przed niebezpieczeństwem. Tymczasem postrzelony w dłoń por. „Szymon", lżej ranny „Bill" i ciężko zraniony w biodro „Aron" wycofali się lasami w kierunku Kosowa. Późnym wieczorem dotarli do Przysuchy, gdzie ukryli się w domu Stanisławy Dryglewskiej. Córki jej Krystyna („Krysia") i Zofia („Wera") i syn Czesław energicznie zajęli się rannymi, udzielając pierwszej pomocy. Wkrótce porozumieli się z właścicielem apteki Stanisławem Pawelskim i z miejscowym lekarzem dr. Mieczysławem Krysiakiem, który opatrzył rany „Billa", „Arona" i operował por. „Szymona", usuwając pocisk z przegubu dłoni. Stan rannych jednak był ciężki. Upływ krwi i zmęczenie po przebyciu prawie 4 km na przełaj spowodowało, że niezbędna była dłuższa kuracja. Oprócz lekarza w dzień czuwała nad nimi cała rodzina Dryglewskich.

W dzień po przybyciu rannych Stanisława Dryglewska wyjechała do Radomia. Prosto z dworca udała się do Natalii Foksowicz, przybranej matki „Arona", aby przez nią powiadomić dowództwo. 20 września znany był już przebieg wydarzeń. Tego samego dnia przekazałem pierwsze instrukcje rannym, a w trzy dni później wysłałem do „Billa" łączniczkę „Joannę" – Marię Sowiar-Chodnikiewicz. 26 września „Aron", „Bill" i „Szymon" odjechali z Przysuchy i zostali na jakiś czas umieszczeni u aptekarza mgr. Stefana Gertnera w Ciepielowie. Potem skierowano ich do Lipska, gdzie przyjęli ich adwokat Stefan Mirowski („Dołęga") i dowódca miejscowej grupy Władysław Strzęb („Wyrwicz"). Zakwaterowali ich w Solcu nad Wisłą u nauczyciela Gołębiowskiego, a następnie w Pawłowicach, gdzie opiekowała się nimi aż do całkowitego wyzdrowienia Józefa Mazurówna, również nauczycielka (...)"[23].

Aresztowania

Bardzo intensywne, odznaczające się zastosowaniem radykalnych metod represji, śledztwo przeprowadzone przez funkcjonariuszy radomskiej komendy Policji Bezpieczeństwa, przyniosło Niemcom dużą ilość

[23] Z. Szewczyk, op.cit., s. 285-286.

materiałów, dotyczących osób związanych w mniejszym lub większym stopniu ze strukturami ruchu oporu w Radomiu i okolicach miasta. Jak wskazuje przebieg późniejszych wydarzeń, wiedza gestapowców pochodziła z różnych źródeł. Oprócz posiadanych przez nich już wcześniej danych, pewną ich pulę przeniosły przesłuchania osób aresztowanych w Rożkach, a zwłaszcza Tadeusza Kapla, nad którym znęcano się z ogromnym okrucieństwem. Chociaż z pewnością nie mógł on zachować podczas śledztwa całkowitego milczenia, nic nie wskazuje, by załamał się i przekazał Niemcom wszystkie posiadane przez siebie informacje o pracy konspiracyjnej. Gestapo zaktywizowało też z pewnością swych konfidentów, nakazując im gromadzenie wszelkich danych o ludziach, mogących posiadać jakikolwiek, nawet najdrobniejszy związek z wydarzeniami w Rożkach. Działaniom tym towarzyszyło zintensyfikowanie nadzoru nad personelem Fabryki Broni, mające na celu wytypowanie osób, mogących teoretycznie uczestniczyć w konspiracyjnej produkcji pistoletów. Pamiętajmy także, iż Niemcy posiadali już od pierwszych minut śledztwa dwa „cele", w które zamierzano uderzyć z dużą intensywnością. Pierwszym z nich była rodzina Józefa Grabosza, a drugim – warsztat mechaniczny, w którym zatrudniony był „Marian Walczak", czyli por. Żetycki.

Jak wynika ze wspomnień świadków wydarzeń, lokalne dowództwo AK podjęło szeroko zakrojone wysiłki, aby ocalić jak najwięcej osób przed spodziewanymi aresztowaniami. Przez kilka dni, dzięki ofiarnej pracy łączniczek, likwidowano tzw. skrzynki kontaktowe i przenoszono broń w bezpieczne miejsca. Niektórzy z konspiratorów bagatelizowali jednak niebezpieczeństwo, a inni ze względu na sytuację rodzinną nie chcieli lub też nie mogli, opuścić swych domów i miejsc pracy.

Kierujących śledztwem *SS-Hauptsturmführer* Paul Fuchs postanowił przeprowadzić aresztowania wszystkich podejrzanych osób w ciągu zaledwie trzech dni, od 22 do 24 września 1942 r. W godzinach popołudniowych specjalne, kilkuosobowe grupy operacyjne, złożone z ubranych po cywilnemu Niemców, zaczęły krążyć po instytucjach i domach prywatnych, dokonując zatrzymań. W pierwszym rzędzie aresztowano osoby, co do których gestapo było pewne, iż działają one w wywiadzie AK. Należała do nich np. Aurelia Szostak ps. „Irena" – przed wojną studentka, a w okresie okupacji pracownica poczty przy ul. Malczewskiego, zajmująca się wychwytywaniem z przechodzącej przez jej ręce korespondencji donosów do gestapo. Według niektórych źródeł została ona aresztowana

w miejscu pracy, według innych – w jednym z zakładów kosmetycznych, kiedy to posiadała przy sobie pewną ilość prasy konspiracyjnej. Prawdopodobnie tego samego dnia gestapowcy dokonali zatrzymań wśród osób zatrudnionych w radomskim dworcu kolejowym. Zatrzymano tutaj Bolesława Dłużewskiego, który prawdopodobnie (chociaż nie ma co do tego pewności) jako żołnierz podziemia uczestniczył w obserwacji częstotliwości i tras przejazdów niemieckich transportów z bronią, amunicją na front wschodni, a także jedną z najbardziej znanych i zarazem cieszących się powszechnym uznaniem społecznym mieszkanek Radomia – Halinę Bretsznajder ps. „Olga". W okresie międzywojennym była ona aktywną działaczką Polskiego Czerwonego Krzyża i harcerstwa, komendantką Obszaru Radomskiego Chorągwi Kieleckiej Organizacji Harcerek i Pogotowia Harcerek. We wrześniu 1939 r. kierowała m.in. akcją pomocy dla polskich jeńców wojennych, a w następnych miesiącach uczestniczyła w akcji pomocy dla wysiedleńców. Działając w ZWZ-AK zajmowała się m.in. organizacją kolportażu prasy konspiracyjnej i prowadzeniem kancelarii Związku Odwetu. Okresowo zastępowała też referenta wywiadu Komendy Obwodu AK Radom[24].

Prawdopodobnie wieczorem dn. 23 września Niemcy wkroczyli do domu Józefa Grabosza. Jak już wspomniano, pomimo ostrzeżeń przekazanych przez kolegów konspiratora jego rodzinie, jej członkowie nie zdecydowali się na ucieczkę. Okazało się to dla nich tragiczne w skutkach. W mieszkaniu Graboszów gestapowcy aresztowali wszystkie zastane tam dorosłe osoby. Byli wśród nich: żona „Billa" Zofia (w konspiracji działała ona pod ps. „Lucyna", będąc łączniczką radomskiej ekspozytury wywiadu AK), jego siostra Bronisława Mróz, a także jego brat Stanisław, który został aresztowany wraz z żoną Julią i szesnastoletnim synem Mieczysławem. Po skuciu kajdankami wymienionych aresztantów i odwiezieniu ich do więzienia, Niemcy założyli w mieszkaniu tzw. kocioł, a funkcjonariusze gestapo w cywilnych ubraniach zaczęli obserwować okolice domu. W zasadzkę tę wpadły po pewnym czasie co najmniej dwie osoby: serdeczny przyjaciela braci Graboszów Władysław Janiak – funkcjonariusz Policji Polskiej (tzw. granatowej), a także Joanna Schleimacher – rodzona siostra ślusarza z Fabryki Broni Mieczysława Dąbrówki[25]. Dodać warto, iż w jednym z powojennych oświadczeń występuje wątek dotyczący opisywanych wydarzeń, który trudno jest zarazem potwierdzić, jak i całkowicie zanegować. Dotyczy on śmierci drugiego syna Stanisława i Julii Graboszów, piętnastoletniego Stanisława juniora. Miał on być wypytywany przez Niemców o swą rodzinę, a kiedy odmawiał odpowiedzi – uderzony w głowę dużą, kryształową popielniczką. Zakrwawionego chłopca miano następnie wyprowadzić na podwórze domu i tutaj zastrzelić. W prasie konspiracyjnej podano, iż zbrodni tej dopuścił się gestapowiec Kurt Schneider[26].

W tym samym czasie inna grupa gestapowców wkroczyła do mieszkania Winczewskich, znajdującego się przy ul. Słowackiego 14. Związki tej rodziny z ruchem oporu były bardzo silne. W niewielkim sklepie z artykułami kolonialnymi, prowadzonym przez nestorkę rodu Stanisławę, znajdowała się tzw. skrzynka kontaktowa i prawdopodobnie również magazyn broni. Do konspiracji należało co najmniej kilku mężczyzn z tej rodziny, a w domu przy ul. Słowackiego mieszkał przez pewien czas zastępca szefa wywiadu AK na miasto Radom kpt. Józef Teliga ps. „Równy" vel „Habdank". Na miejscu Niemcy zastali początkowo jedynie trzy osoby: Stanisławę – pięćdziesięcioletnią wdowę, jej czternastoletniego syna Józefa oraz liczącą trzydzieści sześć lat Marię Grzywacz, pracującą u Winczewskich jako pomoc domowa. Obie kobiety zostały skute kajdankami, a następnie kazano im leżeć bez ruchu na podłodze. W mieszkaniu rozpoczęła się natychmiast szczegółowa rewizja, podczas której Józef został zmuszony do bycia „przewodnikiem" Niemców po poszczególnych pomieszczeniach. Nie wiemy niestety, jakie efekty przyniosło przeszukanie i czy gestapowcy znaleźli jakiekolwiek materiały, wskazujące na powiązania członków rodziny z ruchem oporu. Niemcy zdecydowali się jednak szybko na założeniu w mieszkaniu tzw. kotła, który – jak miało się później okazać – istniał tutaj aż przez trzy doby[27].

[24] AIPN Warszawa, SOR, 267. Dane biograficzne ofiar zbrodni niemieckich, 1945, k. 25-72; *Słownik uczestniczek walk o niepodległość Polski 1939-1945. Poległe i zmarłe w okresie okupacji niemieckiej*, oprac. H. Michalska i in., Warszawa 1988, s. 50, 391.

[25] AIPN Warszawa, SOR, 267. Dane biograficzne ofiar zbrodni niemieckich, 1945, k. 25-72; *Słownik uczestniczek walk...*, s. 123, 281; J. Francecki, *Zbrojne starcie w Rożkach...*, s. 61.

[26] AIPN Warszawa, SOR, 267. Oświadczenie wspólne świadków Ludwiki Grabosz i Anny Mas, 1 X 1945, s. 68; „Walka", 1942, nr 40, s. 4.

[27] AIPN Warszawa, SOR, 267. Oświadczenie świadka Haliny Jamróz, 24 VIII 1945 r., k. 37-38; Archiwum Okręgowej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Kielcach (dalej: AOKBZpNP Kielce), Ds.12/67, t. 31. Protokół przesłuchania świadka Haliny Jamróz, 1 VI 1967, s. 10; Protokół przesłuchania świadka Haliny Jamróz, 10 IX 1969, s. 16.

Jeszcze tego samego dnia w omówioną powyżej zasadzkę zastawioną przez Niemców wpadły dwie, zupełnie przypadkowe osoby: syn Stanisławy Bogdan Winczewski – liczący dwadzieścia sześć lat handlowiec, oficer Wojska Polskiego zarazem inwalida z walk wrześniowych 1939 r. oraz jego żona Ada, będąca wówczas w czwartym miesiącu ciąży. Przejeżdżający przez Radom małżonkowie, udający się do Warszawy po krótkim pobycie we Lwowie, postanowili odwiedzić matkę Bogdana, by prawdopodobnie przenocować w jej mieszkaniu[28]. Niestety, decyzja ta przyniosła im skrajnie tragiczne następstwa. W czasie, gdy przy ul. Słowackiego rozgrywały się omawiane wydarzenia, gestapowcy przeprowadzili dalsze zatrzymania. W swym mieszkaniu przy ul. Kozienickiej 23 aresztowany został Henryk Winczewski (drugi syn Stanisławy i zarazem brat Bogdana), u którego w momencie nadejścia Niemców przebywał jego kuzyn, Tadeusz Kozerski. Obu mężczyzn, skutych kajdankami, przewieziono natychmiast do radomskiego więzienia[29]. Co ciekawe, Niemcy nie zdecydowali się na stworzenie w tym mieszkaniu tzw. kotła, ani też na aresztowanie żony Henryka - Hanny; decydującą rolę odegrał tutaj prawdopodobnie fakt, iż opiekowała się ona wówczas dwoma malutkimi córkami – Barbarą i Bożenną. Zatrzymania zdołała też uniknąć córka Stanisławy - Halina; w chwili najścia gestapowców przebywała ona poza domem, a kiedy zamierzała doń wrócić, sąsiedzi ostrzegli ją, że w mieszkaniu są Niemcy. Nie aresztowano także dwojga dzieci Stanisławy Winczewskiej, zamieszkujących poza Radomiem: Danieli (była ona mieszkanką Staszowa) i Zbigniewa (pracował on wówczas jako leśniczy w miejscowości Pazurek koło Olkusza)[30].

Także 24 września gestapo wkroczyło do siedziby firmy, w której zatrudniony był poległy por. „Andrzej". Oprócz jej właściciela, inż. Nadolskiego, aresztowano wówczas przebywającego tam prawdopodobnie przypadkowo agronoma Stefana Bołdaka, zatrzymując wkrótce także jego brata Józefa – urzędnika radomskiej dyrekcji leśnej. Ofiarami akcji stali się również bracia Ryszard i Stanisław Kiełbowscy. Ich drogi życiowe

[28] AIPN Warszawa, SOR, 267. Oświadczenie świadka Haliny Jamróz, 24 VIII 1945, k. 37-38; AOKBZpNP Kielce, Ds.12/67, t. 32. Protokół przesłuchania świadka Zygmunta Wasilewskiego, 10 V 1982 r., s. 139-140.

[29] AIPN Warszawa, SOR, 267. Oświadczenie świadka Haliny Jamróz, 24 VIII 1945, k. 37-38.

[30] AOKBZpNP Kielce, Ds.12/67, t. 31. Protokół przesłuchania świadka Danieli Filus, 2 X 1969 r., s. 18-19.

były bardzo podobne: obaj ukończyli radomską Szkołę Techniczną, odbyli następnie przeszkolenie wojskowe uzyskując stopnie podchorążych, a wreszcie podjęli pracę w radomskiej Fabryce Broni. W momencie aresztowania Ryszard był zatrudniony w tym zakładzie, a Stanisław pracował w Wytwórni Obuwia „Bata"[31]. Trudno jest oceniać, z jakiego powodu stali się oni celem Niemców, gdyż nie istnieją świadectwa wskazujące na ich kontakty z ruchem oporu. Po latach pojawiły się przypuszczenia, że przed gestapo oskarżył ich jeden z konfidentów. Akcję okupantów wymierzoną w braci, ich ojciec wspominał już po wojnie następującymi słowami:

„24 września 1942 r. o godzinie między 17.00 a 18.00 został aresztowany syn mój Kiełbowski Stanisław przez gestapo. Aresztowanie nastąpiło podczas pracy w Firmie „Bata", gdzie on pracował w charakterze technika.

W tym samym dniu, mniej więcej o godz. 18.00 w mieszkaniu zajmowanym przeze mnie w domu Nr 5 przy ul. Planty dokonana została gruntowna rewizja. Podczas rewizji zapukał do mieszkania drugi mój syn, Ryszard Kiełbowski. Jeden z gestapowców kazał mej córce drzwi otworzyć. Otworzywszy drzwi córka moja ostrzegła syna, że w mieszkaniu przez niemiecką policję jest dokonywana obecnie rewizja i żeby on natychmiast odszedł od drzwi. Lecz niestety syn nie zdążył tego już wykonać, gdyż jeden z gestapowców odepchnąwszy córkę od drzwi pochwycił go i wciągnął do mieszkania.

- Kto to jest? – spytał gestapowiec moją żonę.

- Syn – odpowiedziała ona.

Porozumiawszy się spojrzeniem (gestapowców było dwóch) jeden z nich nałożył synowi na ręce kajdany. Na tłumaczenie żony, że syn przy nas nie mieszka, że jest żonaty i ma własne mieszkanie, że wstąpił do na w celu oddania wypożyczonej przez niego teczki, szwabi nie zwrócili uwagi i kazali mu stać twarzą do ściany. Gdy syn zaczął domagać się od nich wyjaśnienia przyczyny jego aresztowania, jeden z nich uderzył syna łożem [kolbą – S.P.] pistoletu w głowę i zabronił mu rozmawiać. Po przeprowadzeniu bezskutecznej rewizji Szwabi odeszli, zabierając ze sobą naszego syna. Zachowanie się Szwabów podczas rewizji było brutalne, przeważnie jednego z nich, w cywilnym ubraniu"[32].

[31] AIPN Warszawa, SOR, 267. Dane biograficzne ofiar zbrodni niemieckich, 1945, k. 25-72.

[32] *Ibidem*. Oświadczenie świadka Pawła Kiełbowskiego, 20 III 1945, k. 10.

Podobne aresztowania gestapo prowadziło wieczorem 24 września w całym mieście. Finalizowała je operacja, przeprowadzona około godziny 23.00 na terenie Fabryki Broni. Przybyłe tam niemieckie komando, wyposażone prawdopodobnie w co najmniej dwa samochody ciężarowe, wkroczyło na wydział obróbki mechanicznej, będący kluczowym miejscem konspiracyjnej produkcji pistoletów. Po wydaniu rozkazu zatrzymania maszyn i zgromadzeniu w jednym miejscu robotników pracujących na nocnej zmianie, gestapowcy aresztowali 40 spośród nich. Było to uderzenie bardzo celne; jak stwierdza Jan Franecki, 75% zatrzymanych wówczas osób zaangażowanych było aktywnie w nielegalną produkcję broni i wykradanie z zakładu części do nich. Wśród więźniów gestapo znaleźli się wówczas m.in. Mieczysław Dąbrówka, Tadeusz Gałązka, Stanisław i Władysław Jastrzębscy, Lucjan Kociński, Stanisław Konkiewicz, Jan Kurys, a także wielu innych mężczyzn, straconych później w egzekucjach. Tylko nielicznym żołnierzom AK udało się uniknąć aresztowania[33].

Jak wskazują dokumenty, ogólna liczba aresztowanych w Radomiu w dniach 22-24 września 1942 r. w związku ze starciem w Rożkach, przekroczyła z pewnością 80 osób. W wielu przypadkach nie jesteśmy już niestety w stanie określić związku poszczególnych więźniów ze strukturami ruchu oporu, a także przedstawić dokładnych okoliczności ich zatrzymań. Doskonały przykład stanowi los Jerzego Wojdackiego – urzędnika radomskiej Ubezpieczalni Społecznej, uznawanego za rokującego duże nadzieje literata. Wpadł on w zasadzkę gestapo w mieszkaniu Graboszów lub Winczewskich, przychodząc tam, aby zwrócić swym znajomym pożyczoną od nich powieść. Jak napisała pięknie już po zakończeniu wojny jego siostra: „Na śmierć zaprowadziła go wierna przyjaciółka, książka"[34].

Druga faza śledztwa

Jak już wspomniano, wszystkie aresztowane przez Niemców osoby przewożone były do gmachu więzienia przy ul. Malczewskiego. Ponieważ w strukturze organizacyjnej tej instytucji nie istniał jeszcze wówczas odrębny oddział przeznaczony dla osób znajdujących się w dyspozycji Policji Bezpieczeństwa, zatrzymanych ulokowano w różnych celach, zajmowanych m.in. przez więźniów kryminalnych. Pomimo ścisłego sprawowanego przez funkcjonariuszy gestapo, pomoc polskich strażników umożliwiła dostarczenie części aresztowanych przez ich rodziny elementów odzieży, zmian bielizny, a później także paczek żywnościowych. Możemy domniemywać, że wśród więźniów zatrzymanych podczas masowej akcji gestapo panowały dwojakie nastroje. Ci z nich, którzy uczestniczyli w walce z okupantem, musieli zdawać sobie sprawę z faktu, iż Niemcy wiedzą o ich przynależności do AK, a także o pracy w konspiracyjnym wywiadzie, lub też przy nielegalnej produkcji broni. Nikt nie był jednak w stanie określić poziomu szczegółowości tej wiedzy. Nie będący żołnierzami ruchu oporu krewni i przyjaciele konspiratorów, a także osoby, które wpadły przypadkowo w tzw. kotły, miały nadzieję na wyjaśnienie gestapowcom przypadkowego charakteru ich zatrzymań i w konsekwencji na odzyskanie wolności.

Niektórzy z więźniów liczyli zapewne również, iż ich rodziny będą starać się o doprowadzenie do zwolnień, korzystając z różnego rodzaju kontaktów z prominentnymi Niemcami, których można było poprosić o pomoc, a ostatecznie przekupić ich wysokimi łapówkami. Nadzieje te nie były bezzasadne. Bożenna Winczewska wspomina np. że jej matka Hanna (żona Henryka) starała się z ogromną determinacją dotrzeć do Niemców, aby stworzyć szansę zwolnienia męża, teściowej i innych aresztowanych osób. Po bezskutecznych staraniach zdecydowała się wręczyć łapówkę funkcjonariuszowi policji kryminalnej o nazwisku Aftanas – prawdopodobnie z pochodzenia Ukraińcowi. Ten postąpił bezwzględnie – przywłaszczył sobie zaoferowaną mu biżuterię, a następnie przegonił kobietę, ostrzegając, że jeśli nie zaniecha ona swych starań, zostanie aresztowana[35]. Pozostające na wolności dzieci Stanisławy Winczewskiej: Daniela, Halina i Zbigniew podjęły natomiast próbę znalezienia „dojścia" do gestapo za pośrednictwem volksdeutschki o nazwisku Kucharska, będącej sąsiadką rodziny z ul. Słowackiego i pracującej w jednym z urzędów okupacyjnej administracji. Chociaż rozmowy z nią przyniosły pewne nadzieje i rodzeństwo przygotowało pewną kwotę w gotówce z myślą o przekazaniu jej Niemcom, jeszcze przed terminem sfinalizowania tej

[33] APR, ZBoWiD. ZWR, 88. J. Rolecki, *Wspomnienia z lat okupacji*, 1970, s. 11 i nn.; J. Franecki, *Zbrojne starcie w Rożkach...*, s. 61.

[34] AIPN Warszawa, SOR, 267. Dane biograficzne ofiar zbrodni niemieckich, 1945, k. 25-72.

[35] ZSP. Zapis rozmowy z B. Winczewską, 6 I 2008 r.

operacji Niemcy przeprowadzili egzekucje aresztowanych osób[36]. Całkowitym niepowodzeniem zakończyły się też próby znalezienia poparcia w warszawskim gestapo, podejmowane przez zamieszkujących w stolicy krewnych Ady Winczewskiej[37].

Nadzieje więźniów na rychłe uwolnienie zostały rozwiane podczas przesłuchań, prowadzonych systematycznie w radomskiej komendzie Policji Bezpieczeństwa przy ul. Kościuszki 6. Aresztowanych dowożono tam codziennie, grupami po 20-25 osób. Zazwyczaj w pokoju przesłuchań więźniowi pozwalano usiąść na krześle, z rękami skutymi za plecami. Zazwyczaj razem z nim w pomieszczeniu znajdowały się jeszcze trzy osoby: prowadzący przesłuchanie funkcjonariusz gestapo, protokolant spisujący zeznania na maszynie, a także tłumacz, przekładający treść odpowiedzi więźnia z języka polskiego na niemiecki. Pierwsze pytania dotyczyły zawsze podstawowych danych personalnych. Wkrótce jednak Niemcy zaczynali pytać o kwestie związane z powodem aresztowania: pracę konspiracyjną, znajomość członków podziemia, miejsca pobytu osób poszukiwanych itp. Jeżeli więzień milczał, odmawiał odpowiedzi lub też składał zeznania niezadowalające gestapowca, rozpoczynano stosowanie przemocy fizycznej. Niektórzy ze śledczych poprzedzali je jeszcze pokazaniem więźniowi szpicrut lub pejczów, albo prowadzili go do sąsiedniego pomieszczenia, by pokazać tam innego, zmasakrowanego już wcześniej więźnia. Gdy i to nie skutkowało, przesłuchiwany zaczynał być bity przez Niemca i wezwanych przez niego do pomocy kolegów; nierzadko uczestniczyli w tym również tłumacze. Początkowo skutego więźnia popychano na ściany oraz bito pięściami po twarzy i brzuchu, a gdy upadł – kopano go po całym ciele. Bardzo często w przerwach między seriami uderzeń kazano mu wykonywać przysiady. Takie znęcanie się trwało nierzadko nawet kilkadziesiąt minut[38]. Już na tym etapie przesłuchań zdarzały się także bardziej „wyrafinowane" metody wymuszania zeznań, jak np. porażanie ofiary prądem elektrycznym[39]. Jeżeli pomimo takich metod śledczych przesłuchiwany nie chciał nadal złożyć zeznań, gestapowcy przeprowadzali go na tzw. górkę – miejsce budzącego największy strach wśród wszystkich aresztowanych. Było to pomieszczenie na poddaszu komendy Policji Bezpieczeństwa w którym znajdowała się izba tortur, wyposażona w specjalne narzędzia do zadawania bólu. Więzień, umieszczany na specjalnym fotelu dentystycznym, lub też podwieszany za ręce pod sufitem, był bity do utraty przytomności, a następnie cucony wodą. Tortury takie powtarzano wielokrotnie, a wytrzymać ogrom bólu byli w stanie tylko nieliczni.

Można przypuszczać, że makabryczne przesłuchania przyniosły Niemcom wiedzę o kolejnych osobach, zaangażowanych w działalność AK. W nocy z 25 na 26 września aresztowano np. nauczycielkę szkoły powszechnej im. Tadeusza Kościuszki Antoninę Gutkowską. Sąsiadka nauczycielki, która znalazła się w jej mieszkaniu już po wkroczeniu tam gestapowców wspominała, iż na stole w pokoju zobaczyła aparat radiowy, maszynę do pisania, pistolet maszynowy i „wielką ilość rewolwerów"; były to rzeczy odkryte przez Niemców w czasie rewizji[40]. Jak wspominali świadkowie, w około dwa tygodnie po wrześniowej fali aresztowań, gestapowcy przywieźli samochodem do rodzinnego domu Julię Grabosz, która wskazała im miejsce w ogrodzie, w którym zakopane było radio i maszyna do pisania[41]. Podobnych przypadków było z pewnością o wiele więcej.

Egzekucje publiczne

Wysoce niekompletny stan zachowania źródeł uniemożliwia niestety odpowiedź na szereg pytań, związanych z wytypowaniem przez Niemców osób, które postanowiono stracić w związku z wydarzeniami mającymi miejsce na stacji kolejowej w Rożkach. Przeważająca część z aresztowanych na tym tle więźniów stanęła prawdopodobnie przed obliczem Sądu Doraźnego (*Standgericht*), działającego przy radomskim komendancie Policji Bezpieczeństwa. Charakter tego trybunału ilustruje doskonale wypowiedź jednego z „sędziów", *SS-Obersturmbannführera* Fritza Wilhelma Liphardta, który w swym powojennym zeznaniu stwierdził: „Jeże-

[36] AOKBZpNP Kielce, Ds.12/67, t. 31. Protokół przesłuchania świadka Danieli Filus, 2 X 1969 r., s. 18-19; Ds. 12/67, t. 32. Protokół przesłuchania świadka Zygmunta Wasilewskiego, 10 V 1982 r., s. 140.

[37] AOKBZpNP Kielce Ds.12/67, t. 32. Protokół przesłuchania świadka Zygmunta Wasilewskiego, 10 V 1982 r., s. 140.

[38] AOKBZpNP Kielce, Ds. 12/36, t. 27. Protokół przesłuchania świadka Antoniego Bryńskiego, 20 X 1947, s. 87-88; 12/67, t. 29. Protokół przesłuchania świadka Jana Stankiewicza, 21 IX 1970, s. 42.

[39] AOKBZpNP Kielce, 12/67, t. 6. Protokół przesłuchania świadka Edwarda Gruszczyńskiego, 12 X 1982, s. 14-15.

[40] AIPN Warszawa, SOR, 267. Oświadczenie świadka Marii Borkowskiej, d.b. (IX 1945), s. 76.

[41] *Ibidem*. Oświadczenie wspólne świadków Ludwiki Grabosz i Anny Mas, 1 X 1945, s. 68.

li aresztowany stawał przed sądem doraźnym, to albo otrzymywał karę śmierci, albo zostawał uniewinniony. W wypadkach uniewinnienia dana osoba była przeważnie wysyłana do obozu koncentracyjnego. Wyroków śmierci wydawano setki"[42].

Nie wiadomo, czy skazańcy zostali poinformowani o zapadłych na nich wyrokach, a jeżeli nawet, to jakakolwiek informacja na ten temat nie przedostała się poza mury więzienia. Nadając mordowi pozory postępowania w majestacie prawa, chciano równocześnie uniknąć kłopotów proceduralnych, z jakimi wiązałoby się złożenie przez członków rodzin więźniów podań o zastosowanie prawa łaski do generalnego gubernatora Hansa Franka. Chociaż z okupacyjnej historii Radomia znamy co najmniej dwa przypadki obniżenia przez Franka wymiaru kary osobom skazanym na śmierć, można być niemalże pewnym, że w przypadku osób aresztowanych we wrześniu 1942 r. prośby tego rodzaju byłyby całkowicie nieskuteczne. Nie jest wykluczone, że skazańcy zabierani z cel więziennych na miejsca kaźni – o czym będzie mowa za chwilę – nie mieli świadomości czekającego ich losu.

Chociaż realizowane już od pierwszych tygodni okupacji przez Niemców indywidualne i zbiorowe egzekucje więźniów pochłaniały systematycznie życie osób najróżniejszych narodowości i wyznań, mieszkańców miast i wsi, osób zatrzymanych zarówno z przyczyn politycznych, jak kryminalnych, wszystkie one miały wspólny mianownik: skazańców wywożono poza miasto, w rejony oddalone od siedzib ludzkich i otoczone lasami. Tutaj rozstrzeliwano ich z broni krótkiej i maszynowej, maskując mogiły i nie pozostawiając na nich jakichkolwiek śladów, mogących wskazywać na prawdziwy charakter tych miejsc. W interesującym nas przypadku Niemcy postanowili przeprowadzić egzekucję w całkowicie odmienny sposób. Skazańcy mieli zostać powieszeni publicznie, tak, by ich ciała pozostawione przez dłuższy czas na szubienicach były makabryczną przestrogą dla członków ruchu oporu i wszystkich innych osób, które chciałyby podjąć z nim współpracę. Chociaż nie wiadomo, czy decyzja taka zapadła w kręgu władz Generalnego Gubernatorstwa rezydujących w Krakowie, czy też może nawet w samym Berlinie, wpisywała się ona w pełni w politykę okupantów, realizowaną jesienią 1942 r. na centralnych ziemiach polskich[43].

[42] APR, PSSK, 550. Protokół przesłuchania oskarżonego Fritza Wilhelma Liphardta, 25 IV 1947, s. 7.

[43] J. Franecki, *Zbrojne starcie w Rożkach...*, s. 62.

Pierwsza z egzekucji publicznych na więźniach została przeprowadzona koło stacji kolejowej w Rożkach, czyli tam, gdzie padły strzały wymierzone w Niemców. Wczesnym rankiem 12 października w pobliżu torów kolejowych zaczęto wznosić szubienicę. Świadek tych wydarzeń, Jan Woźniak, opowiadał po latach: „Jesienią, mniej więcej w połowie października 1942 roku o godzinie piątej rano [przybyła do mnie] Policja Polska z nakazu telefonicznego od władz niemieckich i powiedziała w moim mieszkaniu jako do sołtysa, że przyszli po to, aby uprzedzić ludność, aby w obrębie stacji Rożki nie chodzili ludzie. Dlatego też z żandarmerią niemiecką, która przyjechała później, utworzyli kordon stojąc co 50 metrów jeden od drugiego. Było to wtedy, kiedy jeszcze nie przywieziono skazanych na powieszenie. Szubienice zdaje się przygotowywała firma niemiecka (...). W godzinę jakąś potem przywieziono samochodami skazańców; było ich 15. Ile było kobiet, a ilu mężczyzn, nie przypominam sobie. Wszyscy delikwenci byli powiązani sznurkami. Mieli powiązane ręce w tył. Po wyprowadzeniu z samochodu podprowadzali pod szubienicę po 5 osób i wprowadzali je na podstawki przygotowane uprzednio z podkładów kolejowych. Zakładali pętle na szyje i kiedy wszystkim założono pętle wtedy wyrywano spod nóg delikwentów podstawkę i wszyscy pięcioro zostali powieszeni. Ponieważ delikwentów było 15 osób, więc wieszanie powtarzało się trzykrotnie"[44].

Egzekucja odbyła się niemalże bez świadków, gdyż funkcjonariusze gestapo pozwolili pozostać na stacji jedynie dyżurnemu ruchu, nakazując wszystkim innym osobom udanie się piechotą w kierunku wsi Kowala[45]. O skrajnej perfidii Niemców świadczy fakt, iż nie zechcieli oni pełnić osobiście ról katów. Zadanie znalezienia osób, które założą skazańcom pętle na szyje i wykopią spod ich nóg oparcia, zostało powierzone największemu oprawcy spośród strażników radomskiego więzienia – *SS-Oberscharführererowi* Ferdinandowi Kochowi. Ten patologiczny sadysta, znęcający się ze szczególnym okrucieństwem nad osobami narodowości żydowskiej, dopuścił się wówczas makabrycznego „żartu". Po wejściu do jednej z cel oddziału kryminalnego wezwał on osadzonych tam Żydów, aby zgłosili się na ochotnika do wykonania pewnej pracy, być może kusząc ich też wizją dodatkowego przydziału żywności. Kiedy czterej

[44] AIPN Warszawa, SOR, 267. Oświadczenie świadka Jana Woźniaka, d.b. (IX 1945), s. 80-81

[45] *Ibidem*. Protokół przesłuchania świadka Stanisława Kwiatkowskiego, 26 IX 1945, s. 83.

Żydzi-ochotnicy wyszli na korytarz okazało się, że będą oni katami w egzekucji Polaków. Ponieważ miała ona odbyć się przez powieszenie, a Koch nie dysponował maskami katowskimi, nakazał więźniom pomalowanie twarzy pastą do butów, z zaleceniem, że elementami tej charakteryzacji muszą być wąsy i baczki[46]. Przerażeni mężczyźni zostali najpierw zapędzeni do samochodów, w których czekali już skazańcy, a po dotarciu na miejsce zmuszeni do wykonania na nich wyroków śmierci.

W takich właśnie okolicznościach na miejscu kaźni w Rożkach odebrano życie piętnastu osobom. Byli to:

1. Zofia Grabosz z domu Strzelecka, ur. w 1910 r., żona Józefa. Żołnierz AK ps. „Lucyna", łączniczka radomskiej ekspozytury wywiadu AK „Sosna"
2. Stanisław Grabosz, lat 52, brat Józefa, z zawodu malarz pokojowy,
3. Julia Grabosz z domu Borysiuk, ur. 4 listopada 1906 r. w Brześciu nad Bugiem, żona Stanisława, matka Mieczysława,
4. Mieczysław Grabosz, ur. 16 sierpnia 1925 r., syn Stanisława i Julii, uczeń,
5. Bronisława Mróz z domu Grabosz, ur. 4 listopada 1900 r.,
6. Antonina Gutkowska, ur. 12 listopada 1892 r., z zawodu nauczycielka,
7. Władysław Janiak, lat 40, funkcjonariusz Policji Polskiej,
8. Kazimierz Kapel, lat 47, z zawodu kancelista, żołnierz AK ps. „Wróbel",
9. Feliks Mas, lat 29, pracownik Fabryki Broni w Radomiu,
10. Halina Rołkowska,
11. Adolf Rutka, lat 36,
12. Joanna Schleimacher z domu Dąbrówka, lat 29,
13. Aurelia Szostak, ur. 13 marca 1919 r. w Mieżonce koło Mińska, pracownica poczty. Żołnierz ruchu oporu (początkowo Organizacji Wojskowej – OW, a następnie AK) ps. „Irena",
14. Henryk Winczewski, ur. 19 stycznia 1910 r. w Radomiu, syn Stanisławy. Do 1937 r. pracował w Urzędzie Skarbowym w Radomiu, a następnie w kancelarii adwokackiej w Staszowie, W okresie okupacji zamieszkiwał w Radomiu, zajmując się handlem,

[46] AOKBZpNP Kielce, Ds. 12/36, t. 27. Protokół przesłuchania świadka Maksymiliana Lechowskiego, 28 XI 1947, s. 103.

15. Jan Winczewski, ur. 4 sierpnia 1916 r. w Radomiu, brat Henryka, z zawodu kupiec, mieszkaniec Warszawy[47].

Oddajmy raz jeszcze głos świadkowi wydarzeń. „Po wykonaniu tych ceremonii wieszania – wspominał Jan Woźniak - kordon otaczający stację i lasek zszedł z posterunków i policjanci polscy jak i niemieccy zeszli się razem opodal szubienicy. Ludności wtedy wolno było podchodzić i oglądać wiszących i kiedy się zebrało trochę ludzi, jeden z Niemców powiedział po polsku, że ludzie powieszeni są Polakami i zostali powieszeni za to, że pomagali bandytom przez ukrywanie ich i dawanie żywności i że kto będzie się sprzeciwiał władzom niemieckim, będzie również powieszony. Kiedy nadszedł pociąg od Skarżyska, to zatrzymano go na 10 minut naprzeciwko szubienicy. Nie widziałem, by ktoś z pociągu wychodził oglądać wiszących"[48]. Informacje o przemówieniach wygłaszanych przez Niemców do osób gromadzących się przy szubienicy oraz o zatrzymaniu przy niej na dłuższy czas pociągu pełnego pasażerów, zostały zapamiętane również przez innych świadków kaźni.

Ciała ofiar wisiały na szubienicy przez cały dzień. Dopiero późnym popołudniem Niemcy zezwolili na ich odcięcie, równocześnie nakazując wykopanie zbiorowej mogiły w brzozowym lasku, znajdującym się niedaleko stacji. Wykonanie tych poleceń powierzono Polakom zatrudnionym w jednej z firm, mających siedzibę w Rożkach. Robotnicy złożyli w dole ciała, a następnie zasypali je, formując na szczycie kopiec, zapewne z myślą o ustawieniu na nim później krzyża. Wieczorem do Rożek przyjechali jednak samochodem osobowym funkcjonariusze gestapo. Uznali oni postępowanie robotników za prowokację, a z wezwanym na miejsce kaźni kierownikiem wspomnianej firmy o nazwisku Rogacki rozmawiano przy odbezpieczonej broni, grożąc mu natychmiastowym zastrzeleniem. Uratował on życie wzywając grupę swych podwładnych, którzy przy pomocy łopat zrównali mogiłę z ziemią[49].

[47] Archiwum Akt Nowych. Narodowe Siły Zbrojne, 207, t. 4. Wykaz osób powieszonych w Radomiu w dn. 12-15 X 1942 r., s. 149; APR, Więzienie w Radomiu (dalej: WR), G-904. Arkusz ewidencyjny Julii Grabosz, 1942 r., s. 1; W-905. Arkusz ewidencyjny Mieczysława Grabosza, 1942 r., s. 1; W-957. Arkusz ewidencyjny Henryka Winczewskiego, 1942 r., s. 1; W-958. Arkusz ewidencyjny Jana Winczewskiego, 1942 r., s. 1; AIPN Warszawa, SOR, 267. Dane biograficzne ofiar zbrodni niemieckich, 1945, k. 25-72; *Lista straconych ofiar w Radomiu i Rożkach w październiku 1942 roku*, „Życie Robotnicze", 1945, nr 29, s. 5; *Słownik uczestniczek walk...*, s. 123, 131, 281, 391.

[48] AIPN, SOR, 267. Oświadczenie Jana Woźniaka, d.b. (IX 1945), s. 82.

[49] *Ibidem*.

Wieści o wydarzeniach mających miejsce w Rożkach obiegły błyskawicznie cały Radom. Nikt jednak nie przypuszczał, że jest do dopiero początek serii publicznych mordów. Następnego dnia, czyli 13 października, funkcjonariusze Policji Bezpieczeństwa powtórzyli znany już scenariusz egzekucji. Tym razem na miejsce kaźni wybrano peryferie miasta, znajdujące się jednak przy ważnej arterii komunikacyjnej – szosie prowadzącej z Radomia w kierunku Kielc, a stąd do Krakowa. W okolicach radiostacji na Wacynie ekipa techniczna wzniosła szubienicę, pod którą po pewnym czasie przyjechały samochody z gestapowcami, skazańcami, a także niewielką grupą żydowskich więźniów, których Ferdinand Koch wyznaczył do roli katów. Przy szosie kieleckiej powieszono 10 osób. Byli to:

1. Józef Bołdok, lat 44, brat Stefana, urzędnik Dyrekcji Lasów Państwowych w Radomiu,
2. Stefan Bołdok, ur. 7 września 1902 r., brat Józefa, z zawodu agronom,
3. Bolesław Dłużewski, ur. 15 lipca 1911 r. w Lubieni pow. Iłża. Kasjer kolejowy na stacji Radom, żołnierz AK,
4. Tadeusz Gałązka, ur. 20 kwietnia 1910 r., szlifierz w Fabryce Broni,
5. Władysław Jastrzębski, ur. 24 kwietnia 1918 r., pracownik zakładowej straży pożarnej Fabryki Broni,
6. Ryszard Kiełbowski, ur. 1 marca 1915 r. w Dnieprodzierżyńsku na Ukrainie. Absolwent radomskiej Szkoły Technicznej, podchorąży Wojska Polskiego, pracownik techniczny Fabryki Broni,
7. Stanisław Kołkiewicz, ur. w 1908 r., z zawodu ślusarz, pracownik Fabryki Broni,
8. Józef Molenda, ur. 5 marca 1919 r. w Pelazgowie, pracownik Fabryki Broni,
9. Józef Saramonowicz, lat 45, majster wydziału mechanicznego Fabryki Broni,
10. Zbigniew Saramonowicz, lat 19, syn Józefa, pracownik Fabryki Broni[50].

Jak wspominali świadkowie, miejsce straceń było otoczone kordonem funkcjonariuszy Policji Polskiej. Policjanci, a także towarzyszący im Niemcy, zatrzymywali wszystkie przechodzące w pobliżu osoby, nakazując im podejście do szubienicy i dokładne zapamiętanie widoku powieszonych ludzi. Wśród przymusowych świadków kaźni znalazło się wielu mieszkańców Radomia i podmiejskich wsi, w tym liczne dzieci wracające ze szkół. Między nimi znajdowali się prawdopodobnie ubrani po cywilnemu funkcjonariusze i współpracownicy gestapo, których zadaniem było obserwowanie reakcji widzów. Tym razem Niemcy nie zdecydowali się na wygłaszanie przemówień do zgromadzonej ludności. Zamiast nich obok szubienicy ustawiono tablicę z obszernym napisem, głoszącym, iż ofiary zostały stracone za współpracę z dywersantami, którzy dopuścili się zabójstwa gestapowca na stacji kolejowej w Rożkach. Ostrzegano, że w następnych wypadkach los taki spotka nie tylko sprawców ale też ich rodziny, a mienie zostanie skonfiskowane na rzecz państwa niemieckiego[51]. Ciała skazańców wisiały na szubienicy przez cały dzień. Dopiero wieczorem Niemcy zdecydowali się na ich zdjęcie, a następnie przewiezienie Firlej, gdzie zwłoki pochowano w zbiorowym grobie. Czynności te wykonali pod nadzorem funkcjonariuszy gestapo więźniowie kryminalni z zakładu przy ul. Malczewskiego.

Kolejnego dnia, 14 października, przeprowadzono trzecią egzekucję. Na jej miejsce wybrano niewielki plac przez halami Fabryki Broni w Radomiu, kierując na stracenie grupę skazańców, będących niemalże wyłącznie pracownikami tego zakładu. Intencje takiego postępowania Niemców były oczywiste – chciano nie tylko dokonać zemsty na osobach zaangażowanych w konspiracyjną produkcję pistoletów, ale również sprawić, by dokonała się ona na oczach ich krewnych, przyjaciół i kolegów. Kaźń miała stać się wydarzeniem, które zastraszy załogę fabryki, paraliżując wszelkie obecne wśród jej członków sympatie do ruchu oporu. Na oczach dużej grupy pracowników zakładu powieszono wówczas 15 osób. Życie stracili wówczas:

1. Mieczysław Dąbrówka, ur. 16 maja 1919, ślusarz Fabryki Broni,
2. Stanisław Jastrzębski, ur. 29 kwietnia 1904 r. w Radomiu, majster Fabryki Broni,
3. Stanisław Kiełbowski, ur. 13 listopada 1917 r. w Dnieprodzierżyńsku na Ukrainie. Absolwent radomskiej Szkoły Technicznej, podchorąży Wojska Polskiego, kierownik – technik Fabryki Obuwia „Bata",

[50] *Ibidem*. Dane biograficzne ofiar zbrodni niemieckich, 1945, k. 25-72; ZSP. Zapis rozmowy z Z. Kubisiakiem, 9 I 2008 r.; *Lista straconych ofiar*..., s. 5.

[51] AIPN Warszawa, SOR, 267. Oświadczenie Pawła Kiełbowskiego, d.b. (III 1945), k. 11-12.

4. Lucjan Kociński, ur. 14 października 1912, pracownik Fabryki Broni. Stracony w dzień swych trzydziestych urodzin,
5. Tadeusz Kozerski, ur. 11 lipca 1917 r. (według innych źródeł: 28 października 1918 r.) w Mińsku Litewskim, spokrewniony z rodziną Winczewskich. Absolwent Gimnazjum im. Chałubińskiego, student Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Podchorąży Wojska Polskiego, uczestnik walk we wrześniu 1939 r. Pracownik Fabryki Obuwia „Bata",
6. Jan Kurys, ur. 6 marca 1910, ślusarz Fabryki Broni,
7. Stanisław Łozicki, lat 53, ojciec Mariana, pracownik Fabryki Broni,
8. Marian Łozicki, lat 16, syn Stanisława, pracownik Fabryki Broni,
9. Roman Ptaszyński, lat 21, pracownik Fabryki Broni,
10. Edward Rajski, ur. 13 października 1918 r. w Moskwie. Prawdopodobnie był żołnierzem ZWZ-AK, zajmując się kolportażem prasy konspiracyjnej. Pracownik Fabryki Broni,
11. Adam Rzeszot, ur. 15 lutego 1906 r., ślusarz Fabryki Broni,
12. Jan Sapiński, ur. 24 listopada 1901 r. w Słomnikach. W okresie międzywojennym był aktywnym działaczem Polskiego Czerwonego Krzyża i Ligi Morskiej i Kolonialnej. Majster w Fabryce Broni,
13. Czesław Stefański, lat 28, pracownik Fabryki Broni,
14. Mikołaj Szlezyngier, lat 51, murarz zamieszkały w Rożkach,
15. Jerzy Wojdacki, ur. 12 stycznia 1921 r. w Simbirsku w Rosji. Absolwent Gimnazjum im. Kochanowskiego, redaktor gazetki szkolnej „Głosy Sztubackie", uznawany za rokującego duże nadzieje literata. Pracownik Ubezpieczalni Społecznej w Radomiu[52].

Jak wynika z powojennych relacji, egzekucja przebiegła szybko, w śmiertelnej ciszy panującej wśród jej przymusowych świadków. Jedynie Stanisław Kiełbowski miał podobno krzyknąć do tłumu: „Tchórze! Dajecie nas zamordować", a stojąc już na szafocie kopnął silnie Niemca, wykopując tym samym ławkę spod swych nóg[53]. Podobnie, jak to miało miejsce w przypadku poprzednich mordów, ciała ofiar wisiały na szubienicy aż do późnego popołudnia, a następnie przewieziono je na Firlej i tam pogrzebano w zbiorowej mogile.

[52] *Ibidem*. Dane biograficzne ofiar zbrodni niemieckich, 1945, k. 25-72; *Lista straconych ofiar...*, s. 5.
[53] AIPN Warszawa, SOR, 267. Oświadczenie Pawła Kiełbowskiego, d.b. (III 1945), k. 13.

Dnia 15 października Niemcy uśmiercili publicznie czwartą – i jak się miało okazać – ostatnią, grupę więźniów aresztowanych w związku ze starciem w Rożkach. Szubienica została ustawiona tym razem przy szosie, prowadzącej z Radomia w kierunku Warszawy. Było to miejsce, w którym odbywał się bardzo ożywiony ruch pojazdów mechanicznych, wozów konnych oraz osób pieszych. W egzekucji straconych zostało 10 osób. Byli to:

1. Halina Bretsznajder, ur. 7 listopada 1904 r. W okresie międzywojennym aktywna działaczka harcerska, żołnierz AK ps. „Olga",
2. Eugeniusz Kurasiewicz, lat 33, pracownik wodociągów miejskich,
3. Władysław Leśniewski, lat 25,
4. Pelagia Matuszewska, ur. 12 (według niektórych źródeł: 22) stycznia 1905 r. w Inowrocławiu. Pracownica Powszechnej Spółdzielni Spożywców „Społem",
5. Jan Nadolski, lat 44, właściciel składu budowlanego w Radomiu, żołnierz AK
6. Jan Prokop, ur. 11 kwietnia 1907 r. w Śniadkowie, ślusarz Fabryki Broni,
7. Edward Rogalski, ur. 13 października (według niektórych źródeł: 18 czerwca) 1910 r. w Radomiu. Absolwent radomskiej Szkoły Technicznej, podchorąży Wojska Polskiego. Pracownik Fabryki Broni,
8. Jan Sikorski, lat 39, pracownik Fabryki Broni,
9. Ada Winczewska z domu Meyer, ur. 16 listopada 1919 r. w Warszawie, żona Jana. W chwili śmierci znajdowała się w zaawansowanej ciąży,
10. Stanisława Winczewska, ur. 7 listopada 1892 r., matka Henryka i Jana[54].

Również i w przypadku tej kaźni Niemcy zatrzymywali przechodzące w pobliżu osoby, każąc im przypatrywać się ciałom wiszącym na szubienicy[55]. Późnym wieczorem zwłoki ofiar przewieziono na Firlej i tam pogrzebano w zbiorowej mogile.

[54] *Ibidem*. Dane biograficzne ofiar zbrodni niemieckich, 1945, k. 25-72; APR, W-955. Arkusz ewidencyjny Ady Winczewskiej, 1942 r., s. 1; W-956. Arkusz ewidencyjny Stanisławy Winczewskiej, 1942 r., s. 1; *Lista straconych ofiar...*, s. 5; *Słownik uczestniczek walk...*, s. 50, 267, 486.
[55] AOKBZpNP Kielce, Ds.12/67, t. 31. Protokół przesłuchania świadka Danieli Filus, 2 X 1969 r., s. 20.

Kolejna fala represji

Jak już wspomniano we wstępie do niniejszego opracowania, omówione powyżej egzekucje odbiły się bardzo szerokim echem w całym okupowanym przez Niemców kraju, nierzadko obrastając dodatkową symboliką, mającą wykazać heroizm skazańców i bestialstwo oprawców. Doskonałym przykładem tego zjawiska są chociażby informacje zamieszczone na łamach ogólnopolskiego, konspiracyjnego pisma Stronnictwa Narodowego „Walka". Pisano tutaj, iż więźniowie traceni przy szosie kieleckiej śpiewali chóralnie *Jeszcze Polska nie zginęła...*, a pętle zakładano im nie na szyje, ale pod brody, co powodowało długą agonię. Na miejsce kaźni mieli przyjeżdżać Niemcy wraz z rodzinami i dziećmi, wygłaszając dowcipy i prowokacyjne uwagi, a „skamieniała" ze zgrozy ludność polska poprzysięgła „(...) zemstę, której nie ujdzie ani kobieta, ani dziecko niemieckie"; część z tym informacji znalazła się zresztą także w meldunku Departamentu Informacji Delegatury Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Kraj[56].

Wydawać by się mogło, iż cztery egzekucje publiczne, w wyniku których śmierć poniosło 50 osób, zakończą represje związane ze starciem w Rożkach. Analizujący sytuację w Radomiu Niemcy musieliby stwierdzić, że ich działania przyniosły w pełni zamierzony cel: miasto zostało wręcz sparaliżowane strachem, konspiracyjna siatka w Fabryce Broni została rozbita, a wywiad AK poniósł niepowetowane straty. Wydarzenia kolejnych tygodni sprawiły jednak, iż przez Radom i okolice miasta przelała się kolejna fala niemieckich represji.

W pierwszych dniach listopada 1942 r. w Radomiu pojawił się Józef Grabosz ps. „Bill". Przyjechał on tutaj z Ciepielowa, gdzie – jak już wspomniano – przechodził rekonwalescencję po postrzale otrzymanym w czasie starcia w Rożkach. Z pewnością musiał on wiedzieć o zamordowaniu przez Niemców żony i innych członków swej rodziny. Łudził się jednak, iż informacje te nie są do końca prawdziwe i w rodzinnym domu nadal ktoś czeka na jego powrót. Po przyjeździe do Radomia postąpił w pełnym poszanowaniu dla zasad konspiracji, kierując się najpierw do punktu kontaktowego ekspozytury „Sosna", mieszczącego się w mieszkaniu rodziny Jaworskich przy ul. Słowackiego 25. Tutaj w kilka godzin później spotkał się z dwiema łączniczkami: Stefanią Dobijówną ps. „Lena" i Marią Sowia-Chodnikiewicz ps. „Hanka". Chociaż dziewczęta przekonywały go, aby powrócił do Ciepielowa, „Bill" postanowił sprawdzić, jak wygląda jego mieszkanie, a przede wszystkim, czy w jego oknach palą się światła, dowodzące obecności tam domowników. Późnym wieczorem udał się zatem na ul. Wałową i w okolicach swego domu został natychmiast rozpoznany przez obserwujących nieruchomość agentów gestapo. Towarzysząca mu w tej wyprawie „Lena" wpadła w ręce Niemców, natomiast „Bill" podjął próbę ucieczki. Ścigany, ostrzeliwując się z pistoletu, umknął w pobliże kościoła św. Jana, a stąd na ul. Rwańską i dalej, na Rynek. Tutaj do pościgu włączył się niestety patrol żandarmerii, pozbawiając Józefa Grabosza jakichkolwiek szans na ocalenie wolności. Zdeterminowany konspirator wymierzył własną broń w siebie i oddał strzał. Próba samobójstwa nie zakończyła się jednak powodzeniem i „Bill" odniósł tylko ciężką ranę. Niemcy przewieźli go błyskawicznie do szpitala wojskowego przy ul. Narutowicza i poddali leczeniu. Przywracanie mu zdrowia trwało ponad trzy tygodnie, po czym konspirator został przekazany do dyspozycji Paula Fuchsa i jego współpracowników z Policji Bezpieczeństwa. Zdruzgotany psychicznie i wycieńczony fizycznie „Bill" został poddany morderczym przesłuchaniom, opartym na biciu i wymyślnych torturach. Doprowadziły one do załamania się przesłuchiwanego i złożenia przez niego zeznań. Jak możemy domniemywać, starał się on skrajnie zminimalizować swą rolę w radomskiej konspiracji, podając Niemcom przede wszystkim dane o osobach już nieżyjących, jak np. por. „Andrzej". Nic nie wskazuje, aby zeznania te doprowadziły do kolejnych aresztowań wśród mieszkańców miasta. Wybiegu tego nie można było zastosować jednak przy pytaniach gestapowców, dotyczących losów „Billa" po starciu w Rożkach. Odpowiadając na nie, podał Niemcom dane rodzin z Przysuchy, Ciepielowa, Solca nad Wisłą i innych miejscowości, które opiekowały się nim i jego kolegami[57].

Złożenie zeznań przez Józefa Grabosza zbiegło się w czasie z powrotem do Radomia jego kolegi, por. Mieczysława Wrony ps. „Szymon". Prawdopodobnie zamierzał on spotkać się ze swą żoną, Walentyną. W obawie przez funkcjonariuszami gestapo udał się najpierw do domu swych rodziców, mieszczącego się przy ul. Poznańskiej 8. Tutaj został

[56] „Walka", 1942, nr 40, s. 4; *Pro Memoria (1941-1944). Raporty Departamentu Informacji Delegatury Rządu RP na Kraj o zbrodniach na narodzie polskim*, oprac. J. Gmitruk, A. Indraszczyk, A. Koseski, Warszawa-Pułtusk 2004/2005, s. 254. Por. także: B. Chrzanowski, *Eksterminacja ludności polskiej w dystrykcie radomskim (1939-1945) w świetle wydawnictw podziemnych*, „Biuletyn Kwartalny Radomskiego Towarzystwa Naukowego", t. 34: 1999, z. 3-4, s. 7-18.

[57] J. Franecki, *Zbrojne starcie w Rożkach...*, s. 63-64.

jednak błyskawicznie rozpoznany przez konfidenta, który zawiadomił Niemców[58]. Sąsiad rodziny Wronów, Zygmunt Ścisło, wspominał po latach tragiczne wydarzenia, które obserwował po zmroku 18 stycznia 1942 r.: „Był mroźny, późny wieczór. Na skrzyżowaniu ulic Staroopatowskiej i Kolejowej zatrzymał się samochód, z którego wyskoczyli hitlerowcy. Z automatami gotowymi do strzału najpierw podbiegli do płotu, za którym stał nasz dom. Po kilku minutach rozległy się strzały. Padała seria za serią. To „grzali", hitlerowcy, kryjąc się jednocześnie za naszym domem. Kanonadę zakończyła eksplozja granatu. (...) Drzwi domu otworzył ojciec Wrony, ale zastrzelony został na miejscu. Natomiast syn padł od kuli w czasie ucieczki przez ogród. Do nieżyjącego już syna przyprowadzili matkę i oświadczyli, że ona również musi zginąć, skoro wychowała bandytę. Padły strzały i matka osunęła się na ziemię, tuż obok syna. Zamordowanych pochowano w ich własnym ogrodzie"[59]. Dodać warto, iż przy zastrzelonym „Szymonie" Niemcy znaleźli dokumenty informujące, że ostatnio przebywał on w Lipsku i był zatrudniony w jednym z tamtejszych zakładów rzemieślniczych. Spowodowało to, iż Niemcy podjęli decyzję o uderzeniu w struktury konspiracyjne także w tej miejscowości.

Prawdopodobnie dn. 20 stycznia 1943 r. funkcjonariusze radomskiego gestapo przeprowadzili ostatnią falę aresztowań, związaną ze starciem w Rożkach. Miejscem pierwszego uderzenia stała się Przysucha, gdzie aresztowano członków rodziny Dryglewskich, którzy – jak już wspomniano – otoczyli serdeczną opieką rannych żołnierzy podziemia, którym udało się uciec niemieckiemu pościgowi. Zatrzymano wówczas Stanisławę Dryglewską oraz jej troje dzieci – żołnierzy AK: córki Krystynę ps. „Krysia" i Zofia ps. „Wera" oraz syna Czesława. Wszystkie wymienione osoby trafiły do więzienia przy ul. Malczewskiego w Radomiu, skąd kobiety deportowano wkrótce do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Stanisława, zapisana pięknie w pamięci współwięźniarek, zmarła tutaj 22 listopada 1943 r. Jej córka Krystyna przeżyła matkę o nieco ponad miesiąc, umierając w obozie 24 grudnia wspomnianego roku. Gehennę rodziny przetrwała Zofia Dryglewska, która z Auschwitz trafiła do obozu Flossenbürg, doczekując tutaj wyzwolenia przez wojska amerykańskie. Końca wojny dotrwał również Czesław, którego wolność zastała w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Powrócił on jednak do kraju z ciężką chorobą płuc[60].

[58] *Ibidem*, s. 64.

[59] Z. Ścisło, *Potworna zbrodnia. List do redakcji*, „Życie Radomskie", 1969, nr 33, s. 8.

Także 20 stycznia Niemcy dokonali aresztowań w Lipsku, Ciepielowie i Solcu nad Wisłą. W ich ręce wpadli m.in. Władysław Strzęb ps. „Wyrwicz", jego żona Józefa oraz jego siostra Albina Białek – łączniczka szefa sztabu Komendy Okręgu AK Radom. Po długotrwałym śledztwie gestapo deportowało ich wszystkich do obozu Auschwitz, gdzie udało im się jednak doczekać szczęśliwie końca wojny. Obóz przeżyła również Wanda Mitrowska - żona komendanta placówki AK w Ciepielowie, który udzielił pomocy rannym konspiratorom, aresztowana wraz ze swą matką Bronisławą Gołębiowską[61]. Los nie okazał się jednak łaskawy dla Reginy Kiełbowskiej. Przebywając w Auschwitz zachowywała pogodę ducha aż do chwili, w której dowiedziała się o śmierci męża. Wiadomość o uśmierceniu go w egzekucji zepchęła ją w skrają apatię, a potem w śmierć.

Początek 1943 r. stał się też czasem, w którym funkcjonariusze Policji Bezpieczeństwa podjęły decyzje na temat dalszych losów innych więźniów, aresztowanych w związku ze starciem w Rożkach. Tylko nielicznym z nich udało się odzyskać wolność. Do szczęśliwców tych należał np. Tadeusz Kosiarski ps. „Fred" – żołnierz AK, pracujący w Fabryce Broni i uczestniczący aktywnie w wykradaniu pistoletów z tego zakładu. Ponieważ w śledztwie wyparł on się konsekwentnie jakichkolwiek związków z konspiracją, a Niemcy nie znaleźli nawet cienia dowodów na jego pracę w ruchu oporu, pozwolono mu wrócić do domu. Zbigniew Kubisiak, który odwiedził Kosiarskiego w kilka dni po jego uwolnieniu, wspominał, że twarz i większość ciała jego kolegi przedstawiała wręcz makabryczny widok, będąc pokrytą dziesiątkami siniaków w czarnym i fioletowym kolorze. Był to efekt metod przesłuchań, prowadzonych przez funkcjonariuszy gestapo[62].

Wiele innych osób nie miało jednak takiego szczęścia. Nawet w przypadkach braku konkretnych dowodów świadczących o „winie" więźnia, *SS-Hauptsturmführer* Paul Fuchs i jego współpracownicy rezygnowali zazwyczaj z jego uwolnienia, podejmując decyzję o deportacji do obozu koncentracyjnego. Polityka ta sprawiła, iż do Auschwitz i innych obozów

[60] *Księga Pamięci. Transporty Polaków do KL Auschwitz z Radomia i innych miejscowości Kielecczyzny 1940-1944*, red. F. Piper, I. Strzelecka, Warszawa-Oświęcim 2006, s. 1803 i nn; Z. Szewczyk, *op.cit.*, s. 288-289.

[61] *Księga Pamięci...*, s. 1819-1832.

[62] ZSP. Zapis rozmowy z Z. Kubisiakiem, 9 I 2008 r.

koncentracyjnych skierowano wiele osób, wymienionych już wcześniej w tym opracowaniu. Byli wśród nich m.in. pasażerowie pociągu zmierzającego do Końskich, aresztowani dn. 19 września 1942 r. na stacji w Rożkach, gospodyni w domu rodzinnym Winczewskich Maria Grzywacz, łączniczka AK Stefania Dobijówna ps. „Lena", a także aresztowana wkrótce po zatrzymaniu Józefa Grabosza Maria Sowia-Chodnikiewicz ps. „Hanka". Pełna lista osób, represjonowanych w związku z omawianymi wydarzeniami, była z pewnością znacznie dłuższa, ale dzisiaj już praktycznie niemożliwa do odtworzenia[63].

Ostatnią ofiarą śmiertelną wydarzeń związanych ze śmiercią por. „Andrzeja" i jego podkomendnych stał się Józef Winczewski. Jak już wspomniano, w chwili aresztowania liczył on zaledwie czternaście lat. Chociaż na szubienicach stracono licznych członków jego rodziny, Niemcy – starający się zawsze nadawać akcjom represyjnym formy działania w majestacie prawa – nie zdecydowali się na uśmiercenie tak młodego chłopca. Przetrzymując go przez wiele miesięcy w więzieniu radomskim czekano prawdopodobnie, aż ukończy on piętnasty rok życia i będzie mógł stanąć przed niemieckim „sądem" jako osoba pełnoletnia. W pewnym momencie Józef został zabrany z celi i jego los pozostawał przez długi czas nieznany[64]. Jak pisała jednak później Halina Jamróz z domu Winczewska: „W 1946 r. prowadziłam sklep i przyszedł do mnie były pracownik więzienia, który również jako dozorca pracował w okresie okupacji niemieckiej. Nie podał mi swego nazwiska, ani adresu, a tylko objaśnił mnie, że mój brat, 14-letni Józef Zdzisław Winczewski miał być zwolniony z więzienia. Mówił mi, że był świadkiem, jak na podwórzu więziennym mego brata Józefa wsadzono do samochodu osobowego gestapo z zamiarem wywiezienia go gdzieś i wtedy podszedł jeden z gestapowców, który trzymając za marynarkę wyciągnął mojego brata z samochodu i strzelił do niego z pistoletu, zabijając na miejscu"[65]. Jan Franecki podaje, iż mord ten został popełniony dn. 19 lutego 1943 r. w budynku radomskiej komendy Policji Bezpieczeństwa przy ul. Kościuszki. Prawdopodobnie kilka dni wcześniej gestapowcy rozstrzelali też na Firleju Józefa Grabosza ps. „Bill"[66].

[63] J. Franecki, *Zbrojne starcie w Rożkach...*, s. 64.
[64] AIPN Warszawa, SOR, 267. Oświadczenie Haliny Jamróz, 31 VII 1945, k. 36.
[65] AOKBZpNP Kielce, Ds.12/67, t. 31. Protokół przesłuchania świadka Haliny Jamróz, 1 VI 1967, s. 10.
[66] J. Franecki, *Zbrojne starcie w Rożkach...*, s. 64.

ZAKOŃCZENIE

Wydarzenia związane z tzw. starciem w Rożkach, do których doszło w Radomiu i okupacjach miasta w okresie od września 1942 do lutego 1943 r., kryją w sobie po dziś dzień wiele zagadek. Jak już wielokrotnie wspominano, ich genezy trzeba szukać bezsprzecznie w działalności lokalnych struktur wywiadu AK. Dokumenty i wspomnienia świadków dotyczącej tej problematyki dowodzą, iż praca konspiracyjna prowadzona przez środowisko polskich patriotów, była zakrojona na bardzo szeroką skalę, przynosząc przez długi czas wymierne efekty. Obserwacja niemieckich jednostek wojskowych, gromadzenie danych na temat okupacyjnych struktur policji, likwidacja konfidentów, a wreszcie wykradanie pistoletów z radomskiej Fabryki Broni, były dziedzinami pracy podziemnej, którymi interesowali się intensywnie funkcjonariusze nazistowskiej Policji Bezpieczeństwa. To, że przez wiele miesięcy nie udawało im się zdobyć konkretnej wiedzy o osobach zaangażowanych w działalność konspiracyjną, świadczy dobitnie o doskonałej pracy członków ruchu oporu.

Starcie, do którego doszło w Rożkach dn. 19 września 1942 r., stanowiło bezsprzecznie przełom w historii radomskich struktur podziemia. Raz jeszcze podkreślić warto, że już prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się, czy por. Jerzy Żetycki i jego podkomendni wpadli w zasadzkę, czy też bój stoczony przez nich z patrolem żandarmerii był dziełem przypadku. Śmierć dowódcy, obrażenia innych konspiratorów, a przede wszystkim dostanie się w ręce Niemców dokumentów i broni, tworzyły niepowetowaną stratę dla lokalnych szeregów AK. Nie można w tym miejscu pominąć milczeniem – wspominanej już wiele lat temu przez Jana Franeckiego – brawury, czy też wręcz niefrasobliwości, członków grupy likwidacyjnej, jadących na akcję w Końskich. Zabranie ze sobą dokumentów zawierających prawdziwe informacje personalne, a także „Visów", z których nie usunięto numerów ewidencyjnych, miało przynieść już wkrótce tragiczne następstwa dla wielu osób. Błąd, jaki popełniono, miał jednak wymiar czysto ludzki i nie mamy prawa oceniać go

z perspektywy kilkudziesięciu lat, jakie upłynęły od zakończenia wojny. Chociaż bardzo prostym byłoby dzisiaj stwierdzenie, iż Józef Grabosz nie powinien wracać do Radomia, a Mieczysław Wrona nie powinien dążyć do spotkania z żoną i rodzicami, musimy zrozumień emocje żołnierzy podziemia, ściganych przez okupantów. Z wielkim zrozumieniem należy odnieść się też do osób, które nie wytrzymały morderczych przesłuchań prowadzonych przez funkcjonariuszy gestapo, składając pod wpływem tortur zeznania o swej pracy podziemnej. W przeważającej większości wypadków podzieliły one tragiczne losy swych krewnych, przyjaciół i znajomych.

Wydarzenia będące tematem niniejszego opracowania szokują po dziś dzień skrajną brutalnością metod zastosowanych przez Niemców. Masowe aresztowania, których ofiarami padły całe rodziny, brak jakiejkolwiek litości dla osób starszych i młodocianych, a także dążność do całkowitej eksterminacji „polskich bandytów", miały na celu sparaliżowane strachem całego społeczeństwa. Służyła temu również bestialska forma egzekucji, dokonanych na więźniach: ustawienie szubienic przy ruchliwych trasach komunikacyjnych, przeprowadzenie kaźni w biały dzień, a także zmuszanie przechodniów, aby przypatrywali się ciałom ofiar. Większość świadków wydarzeń zapamiętała obrazy z październikowych dni na całe życie. Dodać należy także, iż Niemcy postąpili ze skrajną perfidią, zmuszając do pełnienia roli katów więźniów narodowości żydowskiej. Absurdalne stwierdzenia głoszące, iż „Żydzi na ochotnika wieszali Polaków" są obecne po dziś dzień w niektórych środowiskach starszych wiekiem radomian.

Starcie w Rożkach pociągnęło za sobą śmierć ponad 70 osób, spychając ponad 30 kolejnych w koszmar więzień i obozów koncentracyjnych. Tragedia członków rodzin Graboszów, Winczewskich, Kiełbowskich, Wronów i wielu innych wywarła też ogromny wpływ na życie ich krewnych, przyjaciół i znajomych. Wszystkim im jesteśmy winni szacunek i pamięć.

Aneks

Relacja Józefa Roleckiego ps. „Olek" o działalności ekspozytury wywiadu AK „Sosna" i wydarzeniach po starciu w Rożkach

Zaczęło się to na początku lata 1940 r. Miałem wtedy 28 lat, [byłem] pełen zdrowia i energii, lecz jak wszyscy dobrze myślący Polacy, przygnębiony sytuacją, jaka była w kraju okupowanym przez hitlerowców. Pracowałem w fabryce (dawniej Państwowa Fabryka Broni), gdyż na skutek braku zasobów materialnych innego wyjścia nie miałem.

W tym czasie zetknąłem się z Józefem Graboszem - z zawodu malarzem, człowiekiem odważnym i energicznym. Ponieważ znaliśmy się obaj sprzed września 1939 r., więc Grabosz bez żadnych ogródek zaproponował mi wstąpienie do tajnej organizacji Z[wiązek] W[alki] Z[brojnej], mającej na celu walkę z okupantem. Natychmiast się zgodziłem, a nawet ucieszyłem, gdyż dochodziły mnie słuchy, że takie organizacje istnieją, lecz nie mogłem trafić do żadnej, no bo tak składało się, że żadnego bliższego znajomego zaangażowanego w organizacji tajnej nie spotkałem. Zostałem zaprzysiężony w mieszkaniu Józefa Grabosza, który już wtedy posiadał pseudonim „Bill". „Bill" mieszkał w Radomiu przy ul. 1-go Maja 45. Przysięgę odbierał komendant ZWZ na Okręg Radom kpt. „Andrzej" nazwiskiem Żetycki[1]. Otrzymałem pseudonim „Olek".

Teraz organizacja nałożyła na mnie zadanie zwerbować dalszych członów zasługujących na pełne zaufanie, w celu zorganizowania przemytu broni, a więc „visów" produkowanych wtedy na pełnych obrotach w fabryce. Nawiązałem wtedy kontakt z kierowcą pracującym w garażu, Tadeuszem Kosiarskim. Dobrze się złożyło, bo akurat tym czasie Kosiarski potrzebował pomocnika do jazdy samochodem. Niemieckie przepisy przewidywały, że kierowca samochodu ciężarowego o nośności ponad

[1] Autor myli się: por. Żetycki nie zajmował nigdy stanowiska Komendanta ZWZ Okręgu Radom.

3 tony powinien mieć pomocnika z prawem jazdy. Ponieważ prawo jazdy posiadałem, więc mnie przyjęto do garażu. Jeździliśmy z Tadziem Kosiarskim na samochodzie ciężarowym Škoda – „dieslem" o nośności 4,5 ton.

Po wciągnięciu Kosiarskiego do konspiracji nastąpiło również jego zaprzysiężenie. Otrzymał pseudonim „Fred". Odtąd zaczęła się nasza działalność. Polegała na bardzo ważnym i niebezpiecznym zadaniu przewożenia, a często przenoszenia, „visów" poza bramę, a potem na „skrzynkę"[2]. W szczegółach odbywało się tak: gdy otrzymaliśmy polecenie wyjazdu na drogę np. do Warszawy, Krakowa, Stalowej Woli lub Skarżyska-[Kamiennej] po stal, tlen czy inne materiały, wtedy „Fred" kręcił się około samochodu, przygotowując go do drogi, a ja mknąłem do magazynu stali do kolegi Maja Stanisława ps. „Jurand". On to pracując w magazynie działał z innymi członkami organizacji na dziale montażu broni, jak majster Józef Saramonowicz i inni, przynosząc „visy" do magazynu i chowając je wśród półek ze stalą. Wśród tych półek w magazynie ładowałem za pas pod kombinezon dwa lub trzy pistolety, a czasem i cztery, i wracałem do garażu, gdzie następnie umieszczałem [broń] w szoferce pod siedzeniem, pod zbiornikiem z paliwem, lub we wnętrzu koła zapasowego przez umocowanie pistoletów drutami przeciągniętymi przez oponę. Słowem - gdzie się dało, a potem wyjeżdżaliśmy w drogę. W bramie werkschutz[3] zajrzał na skrzynię samochodu zajrzał tu, zajrzał tam... Ale pistolety zawsze były dobrze ukryte. Gdyby tak znalazł...

Zanim udaliśmy się na właściwą trasę, musieliśmy „visy" zdać. Podjeżdżaliśmy wtedy na ul.1-go Maja i w pewnym oddaleniu od ul. Żeromskiego zatrzymywaliśmy się przed skrzyżowaniem (za każdym razem gdzie indziej). Pistolety wędrowały znów za pas pod kombinezon lub kurtkę (zimą) i niosłem je na „skrzynkę" do Stanisława Nowakowskiego ps. „Poręba" na ul. Żeromskiego 86, lub ul. Nowogrodzką czy jakieś inne umówione miejsce. W bramie już ktoś umówiony czekał. Jeśli był znajomy, to nie było zachodu, jeśli nieznany, co też zdarzało się często, wtedy mówiło się hasło i odbierało się odzew. Po zdaniu „visów" jechaliśmy w drogę.

[2] Skrzynka: w działalności konspiracyjnej miejsce (lokal mieszkalny, handlowy, usługowy lub inny) służące spotkaniom konspiratorów, magazynowaniu broni, rozdzielaniu prasy podziemnej itd.

[3] *Werkschutz* (niem.): straż przemysłowa, strzegąca m.in. Fabryki Broni w Radomiu. Autor relacji określa takim terminem również funkcjonariuszy tej formacji.

Bywało, że przy ładowaniu „visów" w magazynie u „Marcina" dłużej zabawiłem, gdyż ktoś przeszkodził, lub chwilowo nie było „Marcina", a „Fred" nie mogąc doczekać się na mnie, jak również nie chcąc zwrócić uwagi kierownika garażu zwanego „Gucio wariat" (ze względu na jego niezwykłe wyczyny), który przynaglał do wyjazdu i nie chcąc aby mnie Niemiec zobaczył obładowanego pistoletami - wyjeżdżał za bramę na zewnątrz i tam czekał na mnie. W takich wypadkach zwiększało się moje ryzyko, gdyż musiałem przechodzić przez bramę do samochodu obok werschutza z pistoletami za kombinezonem. W takim wypadku dodawałem sobie odwagi i żeby zmylić Niemca przy bramie, aby nie przyszła mu chęć rewidowania mnie, wyciągałem jakiś świstek papieru i trzymając go w górze w ręku - świstkiem tym mogła być delegacja lub „fahrkarta"[4] (karta wyjazdu) - biegłem, co sił w nogach przez bramę, spiesząc się rzekomo bardzo do drogi.

Zdarzało się również i tak, że dochodząc do samochodu, zastawałem w szoferce jakiegoś Niemca z dyrekcji lub produkcji, który chciał skorzystać z nadarzającej się okazji i jechać z nami do Warszawy. Wtedy komplikowała się sprawa, bo pistolety musiały zostać u mnie za pasem, a ja sadowiłem się w szoferce obok Niemca (przy drzwiach szoferki Škody mieściły trzy, cztery osoby).

Teraz następowało wzrokowe porozumiewanie się z „Fredem" i ten za drugą bramą zatrzymywał samochód, tłumacząc Niemcowi, że ja chcę skoczyć do domu po śniadanie. Zanim Niemiec odmruknął, ja już pędziłem na przełaj do ul. Bławatnej, bardzo blisko fabryki, gdzie wówczas mieszkałem. Od razu wpadłem do komórki mieszczącej się na podwórku i mając zapasowy kluczyk otwierałem [ją]. „Visy" utykałem w komórce za podwójną ścianą z desek, lub do małej, zamaskowanej piwniczki. Odniesienie na „skrzynkę" takiej porcji „visów" zlecałem żonie. W tym miejscu dodam, że moja żona była zaprzysiężona pod ps. „Hanka". W wypadku takim żona „visy" ładowała do wózka dziecinnego, przykrywała poduszeczkami, na tym sadzała roczną córeczkę i wiozła na miejsce „skrzynki". Pewnego razu wioząc taki „ładunek" omalże nie wpadła, gdyż przechodząc ul. Słowackiego natknęła się na patrol żandarmów, którzy kolejno zatrzymywali przechodzących, legitymowali oraz sprawdzali niesione paczki i teczki. Lecz widząc dziecko w wózku ograniczyli

[4] *Fahkrkarte* (niem.): zlecenie wyjazdu, delegacja samochodowa.

się tylko do obejrzenia kennkarty[5]. Była wtedy o włos od wpadki. Gdyby tak przyszło im na myśl zajrzeć pod poduszeczki...

Oprócz „visów" trzeba było przemycać urządzenia do czyszczenia broni jak: wyciorki, wyciory, łoża. Niewygodne to było, bo wycioru długości 1,6 metrów nie można było ukryć. Ale też udawało się. Niosło się taki wycior z fantazją, niby batem wywijając cały czas, aby nie dać Niemcom połapać się, co niesie się w ręku.

Od czasu do czasu zbieraliśmy się po paru u „Billa" w jego mieszkaniu przy ul.1-go Maja: „Tomasz" – Władysław Molenda, „Szymon" – M[ieczysław] Wrona, „Poręba" - Stanisław Nowakowski, „Budrys" – Zbigniew Gołębiowski oraz trzy kobiety, których nazwisk ani pseudonimów nie znałem (jak później się okazało - tym lepiej, gdyż i one mnie nie znały; wiem, że jedna z nich była żoną „Billa"). W czasie takich spotkań omawiane były różne sposoby „organizowania" „visów" i granatów. Granaty przemycali koledzy pracujący w „Hasagu"[6] Skarżysko. Omawiane [były też] sposoby unieszkodliwiania konfidentów gestapo, rekrutujących się spośród Polaków. W jednej z takich naród zapadł wyrok na M. - agenta gestapo, który pracował właśnie w Fabryce Broni i węszył za członkami konspiracji. Wykonanie wyroku przypadło kolegom „Billowi", „Aronowi" (M. Stelmaszczyk) i „Szymonowi", którzy na początku miesiąca maja 1941 r. znając adres mieszkania agenta zapukali wieczorem do jego drzwi w przebraniu - jeden w mundurze policjanta „granatowego"[7], drugi w mundurze gestapo[8]. Poprosili, aby pan M. udał się z nimi w celu służbowym, a konkretnie do wykonania pewnego rozpoznania. Poszli od Glinic w stronę Idalina. I tu w pobliżu tartaku, na polach Gierycza, zabrali agentowi legitymację i uśmiercili [go] toporkiem, żeby strzałem nie czynić hałasu. Następnie zagrzebali [jego ciało] na kilkanaście centymetrów w ziemi. Ponieważ za parę dni sadzono na tym pole kartofle, wyorano jego ścierwo na wierzch. Na marginesie dodam, że gestapo dowiedziawszy się o śmierci „sługusa" swojego szalało, aby wykryć kto go sprzątnął, ale na nic się nie zdało - nie dowiedzieli się.

[5] *Kennkarte* (niem.): karta rozpoznawcza, będąca w okresie okupacji odpowiednikiem dowodu osobistego.

[6] Państwowa Wytwórnia Amunicji w Skarżysku-Kamiennej została w okresie okupacji przejęta przez niemiecki koncern „Hugo Schneider" A.G., zwany powszechnie „Hasag".

[7] Policja Polska Generalnego Gubernatorstwa, działająca w okresie okupacji pode kierownictwem niemieckim, zwana była powszechnie od koloru mundurów „granatową".

[8] *Gestapo* (niem.): skrót od *Geheime Staatspolizei* (Tajna Policja Państwowa).

I znów po paru tygodniach wykończono innego „sługusa" gestapo nazwiskiem Kostka. Mieszkał on przy ul. Żeromskiego i nigdy nie pojawiał się sam na ulicy. Wykończyła go bojówka naszej organizacji w biały dzień około godz. 9.00 przy ul. Odrodzenia, między ul. Średnią a ul. Okrzei. Zwabili go podstępnie w tę dzielnicę pod pretekstem wskazania mu meliny tajnej organizacji, do której rzekomo chciał należeć. Chcieli go zaprowadzić trochę dalej, na puste place, lecz szpicel zorientował się widocznie, że idący z nim chce go „wyprowadzić w pole" w przenośni i dosłownie, a przy tym chyba zauważył opodal postępującego drugiego nieznajomego mu osobnika (był to drugi kolega ubezpieczający). W pewnym momencie szpicel zawrócił do tyłu w stronę miasta. Wtedy ten, który ubezpieczał z tyłu, zabiegł mu drogę i dwoma strzałami położył na miejscu. Następnie wszyscy trzej (jeszcze był trzeci ubezpieczający na wszelki wypadek) szybko wycofali się między domy ul. Średniej i Odrodzenia. Ze względu na porę dnia nie mieli możliwości rewidować go i ewentualnie zabrać mu legitymację wydaną przez gestapo.

W maju 1941 r. udaliśmy się z „Billem" rowerami do lasku ok. 2 km za stacją kolejową Jedlnia, celem odkopania i zabrania ukrytej przeze mnie broni po zakończonej wojaczce 1939 r. Parę słów tej historii dla obecnych czasów. W sierpniu 1939 r. powołany zostałem z wezwania specjalnego (miałem niebieską kartę mobilizacyjną)[9] do pierwszego batalionu wchodzącego w skład 93 pułku piechoty. Pułk ten łącznie z 16. i 36. Dywizją Piechoty brał udział w walkach obronnych na froncie pod Kielcami. W walkach tych dużo towarzyszy broni poległo, reszta została rozproszona, z których część dostała się do niewoli. Ja z kilkoma towarzyszami wycofałem się w stronę Wisły. Lecz od Zwolenia wzięliśmy kurs na północ z zamiarem dotarcia do Warszawy. Po dojściu do Góry Kalwarii okazało się, że dalej nie można, gdyż Warszawa była otoczona przez wroga. Wracaliśmy polami, lasami, przygnębieni, do domów po dwóch, najwyżej trzech, aby nie wpaść w ręce Niemców. Wracałem z łodzianinem nazwiskiem Krawczyk, lecz tylko do Jedlni, gdyż on postanowił minąć Radom, z zamiarem udania się do Łodzi przez mniejsze miejscowości. Tu w lesie koło stacji Jedlnia postanowiliśmy zakopać naszą broń, którą nieśliśmy dotąd, mając cichą nadzieję, że nam się jeszcze

[9] Przed wybuchem wojny karty mobilizacyjne Wojska Polskiego miały różną kolorystykę, związaną z trybem i czasem stawienia się osoby zmobilizowanej w macierzystej jednostce.

przyda... Nie myliliśmy się, Ale trzeba było poczekać. Ja miałem wtedy nowy typ pistoletu p[rzeciw]pancernego[10] na magazynek 24 naboje plus 100 sztuk amunicji, kolega - karabinek z 30 sztukami amunicji. Zakopaliśmy to w pewnej odległości od toru kolejowego (nawazelinowaliśmy przedtem bardzo grubo i owinęliśmy w koszule, których były pełne wozy taborowe w tym lesie). Zapamiętałem numer budki kolejowej i zmierzyłem krokami odległość od końca lasu. A kiedy w maju 1941 r. zajechaliśmy z „Billem", łatwo znalazłem. Odkopaliśmy, broń była lekko zardzewiała, lecz nieszkodliwie. Amunicji do pistoletu wydobyliśmy 100 sztuk, tj. taką ilość, jaka była schowana, a do karabinka - 30 sztuk. Ucieszeni zdobyczą wracaliśmy późnym wieczorem wzdłuż toru kolejowego do Radomia do domu „Billa" na ul.1-go Maja. Następnie broń przeniesiona do konspiracyjnego warsztatu rusznikarskiego znajdującego się przy ul. Struga, gdzie została doprowadzona do stanu nadającego się do użytku, a następnie przekazana partyzantce do lasu.

Za odzyskanie tej broni dostałem pochwałę od komendanta „Andrzeja" oraz obietnicę awansu. Jak wyżej wspomniałem, mozolnie zbierana w różny sposób i różnoraka broń musiała być odstawiona do partyzantki, tj. do lasów. Ze względu na większą odległość i dla bezpieczeństwa transport broni odbywał się etapami. W jednym z takich transportów etapowych i ja brałem udział wraz z trzema kolegami: „Porębą", „Budrysem" i „Szymonem" na trasie Radom - Skaryszew jako pierwszym etapie. Etap ten prowadził przez Skaryszew, ponieważ transport przeznaczony był dla partyzantki w lasach lipsko-soleckich. Wyjechaliśmy w sobotę przed wieczorem z Radomia (ustalono, że w soboty ruch patrolowy był mniejszy) wozem konnym, wiozącym w jednym woreczku trochę węgla drobnego, stary wózek dziecinny, ledwo trzymający się taboret, miednicę, a pod szerokim siedzeniem ze słomy, „visy" i granaty. Dojeżdżając do mostku na szosie na około 300 m przed Skaryszewem, zauważyliśmy dwóch żandarmów, jakby wyrosłych spod ziemi. Siedziałem na wozie obok woźnicy, a kilkadziesiąt metrów za wozem jechali rowerami jeden za drugim w odstępach paru metrach wyżej wymienieni koledzy jako ubezpieczenie. Na pytanie żandarmów, którzy nas zatrzymali, co wieziemy, opowiedziałem, że węgiel i te graty. Jeden żandarm podszedł i sięgnął ręką do

[10] Nie można stwierdzić, jaką broń ma na myśli autor wspomnień, gdyż nie istniało coś takiego, jak „pistolet przeciwpancerny". Być może chodzi tutaj o karabin przeciwpancerny wz. 35 „Ur", znajdujący się w okresie międzywojennym na wyposażeniu Wojska Polskiego.

wozu, a następnie wetknął ją pod siedzenie i widocznie namacał granaty, bo przez chwilę jakby zastygł... Lecz widząc nadjeżdżających rowerami chłopców, którzy zsiadłszy z rowerów otaczają wóz dookoła, puścił rękę i zwracając się do drugiego żandarma, stojącego za nim – powiedział: „Ja, ja, das ist Kohle"[11], a do nas: „Fahren weiter"[12]. Niemiec zorientował się co go czeka i w ten sposób uratował swoją skórę, a nam niebezpiecznej przygody. W Skaryszewie transport przejęty został przez grupę konspiracyjną z „Akcją" na czele (Wilamowicz Ignacy). Z naszych chłopców tylko „Poręba" towarzyszył grupie „Akcji" w stronę Lipska.

Jak niebezpiecznym procederem było „organizowanie" i przenoszenie broni w samym Radomiu, niech świadczy następujące zdarzenie. Jak uprzednio wspomniałem, wywiezione „visy" z fabryki nie zawsze można było dostarczyć na „skrzynkę" bezpośrednio z samochodu. Jeśli ktoś niepowołany jechał z nami wsiadając do samochodu już w fabryce, trzeba było być ostrożnym przy pozbywaniu się „balastu". Miał na to wpływ również i czas, gdyż wyjeżdżając późno w drogę nie można było pozwolić sobie na „wpadnięcie po śniadanie" do domu, a zależało to również od tego, kto się do nas przysiadał. Jeżeli był to ktoś z wartowni, lub jakiś nieznajomy Niemiec, którego polecono odwieźć go po drodze do Warszawy, czy Kielc lub Krakowa, to wtedy jechało się prosto na trasę (a nóż to mógł być gestapowiec). Jeżeli „visy" leżały ukryte już wcześniej w samochodzie, to teraz czekały spokojnie na powrót do Radomia. Lecz jeśli miałem je przy sobie, to należało tak się zachowywać aby nie zwrócić uwagi, że się jest obładowanym. W takich wypadkach, gdy kurs był na przykład do Warszawy, to po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów i dojechaniu do Białobrzegów, „Fred" zatrzymywał się na „śniadanie", zabierając ze sobą Niemca. Ja wtedy zostawałem w samochodzie rzekomo na przetarcie szyb, lub przykręcenia jakiej śrubki, a w rzeczywistości pozbywałem się „visów" zza kombinezonu, ładując je wtedy już pod siedzenie w szoferce. „Visy" teraz objeżdżały z nami Warszawę, a po powrocie do Radomia musiałem brać je do domu, do swojego schowka, ponieważ o wieczorowej porze „skrzynka" mogła być nieczynna. W takich wypadkach, kiedy nikt w dzień na „skrzynce" nie przejął „gnatów" (tak „visy" były nazywane), wtedy wieczorem ktoś ostrożnie przychodził do mojego mieszkania celem odebrania przesyłki.

[11] *Ja, ja das ist Kohle* (niem.): „Tak, tak, to jest węgiel".
[12] *Fahren weiter* (niem.): „Jechać dalej".

Kiedyś po taką przesyłkę przyjechał rowerem „Poręba", a było to w lipcu około godziny 20.00. „Gnatów" tego dnia było do zabrania 12 sztuk, gdyż z poprzedniego dnia było 4 sztuki, a tego dnia była okazja dwukrotnego wyjazdu z fabryki (raz po benzynę i smary na ul. Młodzianowską, a drugi raz po deski do tartaku, [tak], że doszło jeszcze 8 sztuk). A więc załadowaliśmy 6 sztuk do teczki, którą „Poręba" przywiózł ze sobą, a następnie 6 sztuk do torby używanej przez żonę na zakupy. Przyczepiłem teczkę do ramy swojego roweru, a torbę zawiesiłem na kierownicy. Wyjechałem ze swojego podwórka pierwszy z całym bagażem, a „Poręba" [jechał] w ubezpieczeniu w odległości około 40 metrów za mną, luźno, bez balastu. Trasa prowadziła z ul. Bławatnej przez ulicę Dowkontta, Poniatowskiego, Podjazdową (obecnie 22-go Lipca)[13] i przez skrzyżowanie ul. Słowackiego pod wiaduktem z zamiarem na ulicę Czachowskiego. I tu pech, który omal że nie pociągnął za sobą tragedii. Przy dojeżdżaniu do ul. Słowackiego poczułem, że teczka przypięta do ramy roweru „huśta się". Pojechałem jeszcze parę metrów pod sam wiadukt i tu zeskoczyłem z roweru, aby poprawić teczkę. Okazało się, że na „kocich łbach" ulicy Podjazdowej obciążona teczka i wstrząsy, spowodowały przerwanie dziurki w pasku u teczki, przez co teczka wisiała na jednym pasku w momencie kiedy spojrzałem na nią. Nachyliłem się i pasek włożyłem w sprzączkę i podciągnąłem pasek na wyższą dziurkę. Kiedy kończyłem poprawkę zawieszania teczki, a były to sekundy, zobaczyłem kątem oka, że ktoś do mnie podchodzi. A gdy wyprostowałem się zobaczyłem stojącego obok mnie policjanta „granatowego" - Poznaniaka czy Ślązaka, jak po gwarze poznałem, który zapytał mnie ostro: „Co wieziesz, śpik?" I począł wyciągniętą ręką macać w torbie zawieszonej na kierownicy. Zanim ja zdążyłem mu coś odpowiedzieć już był przy nim „Poręba" i stojąc blisko frontem do niego, przycisnął lufę „visa" do jego brzucha, a następnie zasyczał przez zęby: „Opuść łapę i milcz, bo łykniesz ołów". Policjant zbladł i zaczął trząść się, a wtedy padła następna komenda: „W tył zwrot (policjant przedtem stał twarzą do ulicy Podjazdowej) i bez słowa marsz!", a do mnie: „Odjeżdżaj na ulicę Prostą" (tu wskazał ręką za plecami policjanta, abym jechał w lewo). Skoczyłem na pedały i pędziłem prosto ul. Słowackiego wzdłuż wiaduktu po stronie, gdzie jest apteka, a następnie ul. Nowogrodzką i prosto do ostatniej bramy na lewo, skąd na łączące podwórze domu Żeromskiego 86, gdzie miał mieszkanie

[13] Obecnie ul. Beliny-Prażmowskiego.

„Poręba". Postawiłem w kącie podwórka rower, odetchnąłem głęboko... A odpiąwszy bagaż, zapukałem umówionym sposobem do drzwi kuchni mieszkania „Poręby". Otworzyła mi żona kolegi - wsunąłem się cicho do mieszkania. Niebawem podjechał „Poręba" zostawiwszy naszego „interlokutora" na podwórku przy ul. Czachowskiego, gdzie [go] zaprowadził, jednocześnie zapowiadając mu, żeby „przez 5 minut nie ruszył się nawet" ani próbował alarmować kogoś. I jeszcze „Poręba" zapowiedział, że jeżeli mu życie miłe, to żeby „nie ważył się Niemcom donieść o tym spotkaniu". Z tej niespodziewanej przygody, wynieśliśmy doświadczenie, że w takim wypadku powinien ktoś jeszcze jeden jechać przodem, celem „przetarcia" trasy. I odtąd jadąc z takim ładunkiem stosowaliśmy przednie i tylne ubezpieczenie.

Wrócę teraz do fragmentu, kiedy raz jadąc do Warszawy otrzymaliśmy niepożądanego pasażera w osobie werkschutza-volksdeutscha[14]. Na ten wyjazd również w ostatniej chwili przyniosłem do garażu „gnaty", a ze przed garażem kręcił się już nasz „pasażer", więc nie było mowy przełożyć je do schowków. Ale wyjeżdżając już od garażu z werkschutzem w szoferce nie byliśmy narażeni na rewizję na bramie. I tym razem „Fred" w Białobrzegach poszedł na śniadanie z volksdeutschem, ja natomiast dla wiadomych przyczyn zostałem z samochodzie. Po uwolnieniu się z „ładunku", który i tym razem przełożyłem pod siedzenie w szoferce, dołączyłem i ja na śniadanie. Pod Grójcem nasz volksdeutsch wysiadł do swojej „familie", gdyż taki był cel jego podróży. W Grójcu przy wylocie na Tarczyn zatrzymali nas żandarmi. W pierwszej chwili zaczęliśmy przebierać uszami, czy nie zechcą przeprowadzić rewizji. Ale „herennvolki"[15] chciały, żebyśmy zabrali ich do Warszawy. Było to pamiętnej obfitej w śnieg i mroźnej zimy roku z 1941 na 1942 r., kiedy to hitlerowcy oblegali bez skutku Moskwę. Więc wsiadło ich teraz dwóch do szoferki, usiedli tyłkami na uprzednio włożonych tam „visach" i tak dojechali z nami do Warszawy. Przy wysiadaniu dziękowali mówiąc, że im się bardzo dobrze jechało. Chciało się nam wtedy wytłumaczyć im dlaczego tak dobrze się jechało a byłoby jeszcze lepiej, gdyby te „visy" do nich przemówiły...

[14] *Volksdeutsch* (niem): „Niemiec etniczny". Osoba będąca przed wybuchem wojny obywatelem jednego z krajów okupowanych (np. Polski), która przyjęła tzw. Niemiecką Listę Narodowościową.

[15] *Herrenvolk* (niem.): „Naród Panów". Tutaj autor używa tego zwrotu jako żartobliwego określenia Niemców.

Jak już wyżej wspomniałem, od czasu do czasu odbywały się spotkania konspiracyjne, coś w rodzaju odpraw. Odbywały się w różnych miejscach i w różnych składach osobowych. A więc były i w moim szczupłym mieszkaniu. Były również w mieszkaniu „Potęgi" (Karasińskiego) przy ul. Broni. Na spotkaniach tych oprócz spraw organizacyjnych omawiano sytuację Niemiec na frontach krajów napadniętych. Zebrania te podnosiły nas na duchu, gdyż dowiadywaliśmy się, że sprawa Polski nie jest całkiem zaprzepaszczona, że generał Sikorski, że Związek Patriotów w Związku Radzieckim... Chciwie słuchaliśmy różnych wiadomości - szczególnie, gdy były dla nas pomyślne, a najbardziej, kiedy Niemcom wojska radzieckie zastąpiły drogę w marszu na Moskwę, a potem klęska ich pod Stalingradem. Wiadomości te podawaliśmy potem w zaufaniu naszym bliskim i znajomym, celem podniesienia ich na duchu. A było to wtedy bardzo ważne, gdyż przy tak wtedy szalejącym terrorze hitlerowskim, żyjąc w ciągłej niepewności dnia ani godziny, można było zwątpić w odmianę naszej doli. Dlatego każda najdrobniejsza wiadomość donosząca o niepowodzeniach naszego śmiertelnego wroga, lub o każdej akcji zmierzającej do szkodzenia okupantowi bezpośrednio, czy pośrednio, była witana przez Polaków jako jeszcze jeden krok do wyzwolenia kraju.

Wspomnę tu zamierzoną akcję na pewnego volksdeutscha, mieszkającego na tej samej ulicy co ja, a więc Bławatnej, na którego nasza organizacja wydała wyrok śmierci. Przyznam się, że o mającej nastąpić akcji wcześniej nie wiedziałem. Takimi sprawami zajmowała się inna grupa organizacji - wywiad. A więc pewnej nocy czerwcowej 1942 r., ciepłej i pogodnej, około godziny 0:30, ktoś przez uchylone okno zaczął szarpać mnie za ramię - dodam, że ze względu na małą powierzchnię mieszkania łóżko stało tuż pod oknem. Gdy obudzony spojrzałem przez okno, ujrzałem „Billa". On to stojąc za oknem budził mnie. Chciał ode mnie, abym wskazał gdzie mieszka na tej ulicy naczelnik wydziału Urzędu Skarbowego, volksdeutsch, który jest bardzo uciążliwy dla ludności polskiej. Określiłem mu, w którym domu i piętrze i [opisałem] drzwi korytarza. Był to największy dom na tej ulicy, dwupiętrowy, zamieszkały w większości przez gestapowców, o czym nie omieszkałem „Billa" ostrzec. Ofiarowałem się mu do pomocy, lecz „Bill" odradził mi, że nie może mnie narażać, gdyż jestem bardziej potrzebny na odcinku „organizowania" „visów" oraz tym razem ma do pomocy „Porębę", który przy-

czaił się i czeka na ulicy. Tej nocy jednak nie zastali swego „petenta", [który] wyjechał prawdopodobnie na delegację. Lecz w niedługim czasie naczelnik gdzieś „zginął", co było udziałem „Billa" i „Poręby".

Pewnego dnia w końcu sierpnia 1942 r. nastąpiło nieszczęście... Wracając samochodem z tlenem ze Skarżyska zobaczyliśmy, że przy szosie na wysokości stacji kolejowej Różki, rosnący tam lasek około dziesięcioletnich sosenek obstawiony jest żandarmerią. Przeczuwaliśmy, że Szwaby[16] zrobili jakąś obławę, lecz na kogo nie wiedzieliśmy. Dopiero na drugi dzień cichaczem dowiedzieliśmy się, że „Andrzej" i „Bill" mieli wpadkę w pociągu na stacji Różki wioząc broń dla chłopców do lasu (Świętokrzyskie)[17]. W wyniku strzelaniny „Andrzej" został zabity [a wraz z nim] dwóch gestapowców. „Bill" po zastrzeleniu gestapowca wyskoczył oknem wagonu i zniknął. Za nim to była robiona obława, którą widzieliśmy wracając ze Skarżyska. Jak nam doniesiono, już parę osób z naszej organizacji działających poza Fabryką [Broni] jest aresztowanych.

Należało teraz wystrzegać się [aresztowania], ale to nie było łatwe. Trzeba było jednak pracować, gdyż nie było z czego żyć, lub mieć zasobne zaplecze materialne, a tego nie mieliśmy. Pozostało pracować i czekać czujnie na dalszy rozwój wypadków. W międzyczasie obserwowaliśmy jak gestapowcy codziennie przychodzą do fabryki przesiadują w dyrekcji i biurze werkschutzu. Niebawem miał nastąpić rezultat ich węszenia. Otóż po sześciu dniach od „wpadki" w Różkach otrzymaliśmy polecenie zawiezienia paru ton węgla dla jakiegoś wyższego oficera niemieckiego na teren byłych koszar 72 pułku piechoty. Gdy robotnicy naładowali węgla na samochód, należało pobrać przepustkę z biura Werkschutzu na wywiezienie go. Ponieważ chwilowo nie miał kto z działu gospodarczego załatwić przepustki na wywiezienie węgla, a nam zależało, żeby uprać się z tym kursem do zakończenia pracy w fabryce, przeto ja ofiarowałem się załatwić przepustkę u komendanta Werkschutzu. Pobrawszy przepustkę wychodziłem z nią, gdy zostałem zatrzymany przez tegoż Wachführera[18], wprowadzony do jego gabinetu i zapytany: „Słuchaj pan - Austriak nauczył się trochę po polsku - czy u was w garażu pracuje taki szofer Olek?" Więc są już na naszym tropie - błyskawicą przeleciało mi przez

[16] Szwab: potoczne określenie Niemca.

[17] Informacja mówiąca, iż por. „Andrzej" i jego podkomendni przewozili broń dla partyzantów, jest całkowicie nieprawdziwa.

[18] *Wachführer* (niem.): Komendant zmiany.

głowę, lecz nakazałem sobie opanowanie i zachowanie zimnej krwi. Najspokojniej odpowiedziałem: „Nie, u nas w garażu takiego nie ma. Jest Stasiek, Edek, Tadek, Władek, a Olka nie ma". Ale Niemiec wziął mnie za połę marynarki i podprowadził do okna, a następnie kiwając ręką mówił: „O, tak na niego wołają - Olek, Olek chodź tu! Chodź!". Ja znów odpowiedziałem: „Nie, w naszym garażu taki nie pracuje, ale może w Autoreperaturwerkstate"[19] (istniały wtedy w fabryce warsztaty naprawcze samochodowe – samochody przyjmowano do reperacji z zewnątrz). Wtedy Niemiec zastanowił się, a następnie kazał mi iść.

Wychodziłem pełen skupienia, starając się nie zdradzić z wewnętrznych odczuć, gdyż byłem obserwowany przez Niemca. Szedłem śmiało i pewnie. Dopiero na schodach naprawdę pewniej się poczułem, a gdy doszedłem do samochodu odetchnąłem, lecz pragnąłem jak najprędzej znaleźć się za bramą fabryki. Będąc za bramą, w czasie jazdy urywkowo opowiedziałem koledze „Fredowi", co zaszło w biurze Werkschutzu w czasie podpisywania przepustki. Następnie, podczas wyładowywania węgla przez Żydów, naradzaliśmy się obaj, co należy teraz przedsięwziąć - czy: 1) Zostawić samochód gdzieś w zaułku Radomia i zwiewać; 2) Czy, aby nie wzbudzić podejrzeń większych (łudziliśmy się, że Niemcy nie będą więcej szukać wśród pracowników fabryki) zaprowadzić samochód do garażu i iść do domu - ryzykując oczywiście, czy warta fabryki w międzyczasie nie otrzymała polecenia zatrzymać nas, gdy będziemy wracać do domu. Pozostała jeszcze trzecia koncepcja, ale po głębszym rozważeniu zaraz upadła, a wyglądała następująco: zabrać do samochodu żony z dziećmi i uciekać z Radomia. Ale zastanowiliśmy się, gdzie uciekać. Ani kolega „Fred", ani ja, nie mieliśmy krewnych, ani bliższych znajomych poza Radomiem, gdzie można [było] zamelinować się. A zostawić żon z dziećmi małymi, nie posiadających środków do życia, na pastwę losu i Szwabów nie chcieliśmy. Postanowiliśmy odprowadzić samochód do garażu i wracać do domu, o ile się uda... I udało się.

Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz fabryki, uradziliśmy, że zachowamy całkowitą ostrożność i nie będziemy nocować w domu, ani żony z dziećmi. Nazajutrz każdy na swoją rękę będzie kombinował, w jaki sposób uzyskać usprawiedliwienie nieobecności w pracy, jak zwolnienie lekarskie, czy coś w tym rodzaju, aby pod tym pretekstem parę dni poczekać na dalszy rozwój wypadków.

[19] *Autoreperaturwerkstate* (niem.): Warsztaty naprawcze samochodów.

Po przyjściu do domu powiedziałem żonie o zaistniałej sytuacji. Następnie nie zwlekając zaczęliśmy przygotowywać się do opuszczenia mieszkania na wypadek nocnej wizyty psów hitlerowskich. Przy opuszczeniu mieszkania powiedzieliśmy sąsiadce, że idziemy na Glinice do matki, która jest ciężko chora i będziemy tam nocować. Lecz zamiast na Glinice, żona z córką udały się do siostry swojej na ul. Młodzianowską, a ja poszedłem spotkać się z „Marcinem" (Bator Kazimierz) na ul. Pustą, aby mu opowiedzieć moją wstępną - ale jak się okazało jakże pożyteczną, bo ostrzegawczą - rozmowę w biurze Werkschutzu, aby z kolei ostrzec innych i pobudzić do wzmożonej czujności. „Marcin" wysłuchawszy mojej relacji wysupłał z jakiegoś zakamarku marynarki coś maleńkiego, zawiniętego w celofan i wręczył mi mówiąc: „Masz to na wypadek, gdybyś wpadł im w łapy i nie mógł znieść tortur - to jest cyjanek". Następnie pokazał drugą taką porcje, którą zachował dla siebie. Jak się dowiedziałem, chłopcy z konspiracji zorganizowali to wcześniej z fabryki „na wszelki wypadek". Następnie uzgodniliśmy, że „Marcin" jako na zewnątrz mniej znany (działający na mniejszym odcinku) pójdzie nazajutrz do fabryki i lepiej zamelinuje „visy", których zapas miał przygotowany dla mnie do wywiezienia. Następnie będzie się starał ostrożnie zaobserwować, gdzie gestapo węszy. Na zakończenie umówiliśmy się spotkać na następny dzień (o ile nie zajdzie czegoś nieprzewidzianego) o szarówce w okolicy byłego folwarku Prędocinek, przy stawie.

Po rozstaniu z „Marcinem" udałem się do moich dobrych znajomych – Państwa Bieńkowskich na ul. Młodzianowską. Pana Antoniego Bieńkowskiego znałem sprzed 1939 r. jako zacnego człowieka, pracownika ówczesnego kasyna byłej Fabryki Broni. Państwo Bieńkowscy zaofiarowali mi nocleg wyczuwając, że w tym celu do nich przyszedłem. Rano, podziękowawszy za nocleg, czym prędzej opuściłem mieszkanie państwa B[ieńkowskich], starając się nie spotkać nikogo ze współmieszkańców tego domu, aby nie narażać ich na jakieś podejrzenia. Zaraz na ul. Młodzianowskiej spotkałem się z żoną, która czatowała już na mnie, aby mi powiedzieć, że widziała się z naszą sąsiadką – współlokatorką, wracającą ze sklepu. Sąsiadka zobaczywszy żonę sama zaczęła mówić, że w nocy około godziny 24.00 dobijał się do naszych drzwi werkschutz-volksdeutsch. Wtedy ona wyjrzała i powiedziała mu, że nas nie ma w domu, że udaliśmy się do chorej matki na Glinice, a bliższego adresu ona nie zna. Wtedy werkschutz ze złością powiedział, że „Jest pilny wy-

jazd samochodem, a jego nie ma" (wtedy rzeczywiście były wyjazdy dość często w środku nocy), a odchodząc zapowiedział sąsiadce: „Jak Rolecki wróci, to niech natychmiast przychodzi do fabryki". Usłyszawszy to [za] miast do fabryki, udałem się do Ośrodka Zdrowia (ówczesne ambulatorium lecznicze tylko dla pracowników fabryki i ich rodzin), mieszczącego się przy ul. Słonecznej, naprzeciw fabryki. Chciałem uzyskać zwolnienie lekarskie, aby mieć alibi niepójścia na razie do fabryki. Ale nie udało mi się to, gdyż po wzięciu numerku do doktora Gajdzińskiego i zajęciu kolejki pod jego drzwiami, już po kilku minutach zobaczyłem wchodzącego na poczekalnię jednego z werkschutzów-volksdeutschów. Natychmiast, nim on mnie zobaczył, ja złapałem się rękoma za brzuch i nisko pochyliłem się, udając bóle żołądka. Werkschutz prosto od drzwi podszedł do mnie (skąd dowiedział się, że tu jestem?) z tymi słowy: „Panie Rolecki co z panem jest? Dlaczego pan nie przychodzi do fabryki? Jest pilny wyjazd!" Ja stękając wymamrotałem, że jestem chory, że bardzo boli mnie żołądek i musiałem przyjść do lekarza, aby mi dał jakieś lekarstwo na te bóle. Wtedy on powiedział, że przecież jest ambulatorium i lekarz w fabryce, trzeba było przyjść i tam zgłosić się na miejscu. A ja na to: „Wiem, ale mnie tak okropnie boli żołądek, że nie mógłbym dojść do ambulatorium w fabryce". „A prędko pana kolejka wejścia do lekarza?" - zapytał. Ja stękając odpowiedziałem, że ten pacjent który jest u lekarza i jeszcze jeden, a ja dopiero za nim. No, to mówi, „Jak nadejdzie pana kolejka, to niech pan wchodzi, a ja tymczasem skoczę sobie kupić papierosy" (trudno uwierzyć, że był taki naiwny). To powiedziawszy wyszedł. Wtedy ja, trzymając się w pewnej odległości za nim, schodziłem również na dół. Obserwowałem w głębi korytarza, jak przeszedł ul. Słoneczną, kierując się do sklepiku na rogu ul. Mariackiej. Wtedy ja szybko - ale nie biegiem, aby nie zwrócić niczyjej uwagi - wyszedłem na ulicę, skręcając w lewo i w górę w stronę dzielnicy Borki i Żakowice. Tu mogę sobie pogratulować szczęścia, gdyż jak się później w czasie dnia dowiedziałem od pracowników mieszkających w dzielnicy Żakowice, a wracających z pierwszej zmiany fabryki, gestapo aresztowało i zabrało w nocy pełen samochód pracowników, a rano drugi samochód.

Dopiero dokładniej dowiedziałem się wieczorem jak to było, gdy spotkałem się z „Marcinem". A więc ubiegłej nocy, tej co nocowałem u państwa Bieńkowskich, około godziny 2.00 gestapo zabrało pełen samochód pracowników, między innymi „Freda", który mimo, że wiedział

o niebezpieczeństwie, nocował w domu. Wtedy w nocy przyszedł po niego werkschutz z wezwaniem, aby szedł z nim do fabryki, „bo jest pilny wyjazd". A przyszedłszy do fabryki - pojechał, ale w charakterze pasażera gestapo. Zabrano wtedy majstra z działu montażu Saramonowicza [i] kilku brygadzistów z [wydziału] obróbki mechanicznej. Rano drugi samochód załadowany przez gestapowców wyjechał z fabryki. Rezerwowano w nim i dla mnie prawdopodobnie miejsce, bo „Olka" nadal szukano. Opowiedziałem „Marcinowi", że ubiegłej nocy i po mnie był werkschutz w sprawie „pilnego wyjazdu" oraz [opisałem] moje spotkanie z werkschutzem w poczekalni ambulatorium – pogratulował mi szczęśliwego wybrnięcia z tych sytuacji.

Ponieważ cała niemal grupa została rozproszona, a około 70% jej członków aresztowano i niebawem miała zawisnąć na szubienicach w różnych krańcach miasta (w połowie miesiąca października 1942 r.) omówiliśmy z „Marcinem", że gdyby któremu z nas udało się nawiązać kontakt z inną jakąś grupą partyzancką – pomoże drugiemu dostać się do niej. Na razie ja, jako „spalony"[20], musiałem zniknąć na jakiś czas z Radomia. Spieniężyłem ostatni garnitur zostawiając pieniądze żonie z dzieckiem, a sam udałem się do Dęblina, gdzie spotkałem dawnego kolegę - Józka Walkiewicza. Józef pracował wtedy jako maszynista kolejowy w parowozowni w Dęblinie. Przebywając w Dęblinie i rozmawiając z kolejarzami zaznajomionymi przez Józka W[alkiewicza] dowiedziałem się o strasznym okrucieństwie katów hitlerowskich i powieszeniu w Radomiu i na stacji Różki pięćdziesięciu więźniów, w 75% aresztowanych pracowników Fabryki [Broni]. W parę dni potem Niemcy powiesili dwudziestu Polaków w Górze Puławskiej[21]. Mimo tego, że Niemcy rozmyślnie siali trwogę terroryzując i mordując polską ludność, ludność ta solidaryzowała się i pomagała sobie nawzajem, Niemcom szkodząc na każdym kroku, jak tylko nadarzyła się ku temu okazja. Przekonałem się o tym, kiedy to byłem teraz wśród obcych mi ludzi. [...][22]

[20] „Spalony": potoczne określenie żołnierza konspiracji, którego personalia znane były Niemcom.

[21] Dn. 29 października 1942 r. Niemcy powiesili w Górze Puławskiej 20 Polaków, m.in. miejscowego proboszcza ks. Józefa Kownackiego. Był to odwet za zlikwidowanie przez żołnierzy AK pary konfidentów gestapo.

[22] Pominięto fragment dotyczący półrocznego pobytu autora wspomnień w Dęblinie i pracy w tamtejszej parowozowni kolejowej.

Kto wie jakby się to skończyło, gdyby nie moja choroba. Od pewnego czasu odczuwałem już naprawdę bóle żołądka. Spowodowane to było nieregularnym odżywianiem i mało gotowanymi potrawami - wiadomo, nie stołowałem się nigdzie. W parowozowni nie było żadnej stołówki. W marcu 1943 r. otrzymałem zwolnienie lekarskie i przyjechałem po cichu do domu do Radomia. Po sześciotygodniowym pobycie w domu, gdzie się kurowałem, naszło nas gestapo i aresztowało nas oboje z żoną, zabierając do swej siedziby na Plantach. Tam nas trzymano całą dobę, badając wszelkimi szykanami stosowanymi przez gestapo, a więc biciem i straszeniem pistoletem, którym przez cały czas w czasie badań trzymali w rękach, bawiąc się nimi. Zarzucano mi, że jestem „Bandit"[23], to [znaczy] jestem partyzantem. Od czasu, kiedy uciekłem z pracy, do żony mieli pretensje, że mimo wezwania, aby stawiła się do pracy za mnie – nieobecnego, nie stawiła się, a nawet doprowadzona przez werkschutza do fabryki - uciekła i nie chciała pracować. Tłumaczyłem się, że byłem chory i nie mogłem pracować, a lekarz mimo mojej choroby nie chciał dać mi zwolnienia od pracy. Wtedy zdecydowałem się opuścić pracę samowolnie, aby móc leczyć się. Zapytano wtedy mnie z czego żyłem, gdy nigdzie nie pracowałem. Odpowiedziałem, że sprzedałem garnitur, potem rower, a gdy podleczyłem się, to poszedłem do pracy na kolej, bo do fabryki bałem się wrócić. Uważałem, że praca na kolei, a szczególnie w parowozowni, jest również ważna, a ja zamierzałem zostać maszynistą. Na dowód, że nie kłamię, pokazałem im legitymację kolejarską. Wtedy gestapowiec wyszarpnął mi ją z ręki i podarł w kawałeczki. Następnie w asyście gestapowca odesłano nas do Arbeitsamtu[24] (urząd pośrednictwa pracy). Tam nas znów zamknięto na kilka godzin w pokoju o zakratowanych oknach, mówiąc nam, że to jest poczekalnia, w której czeka się na transport do obozu koncentracyjnego. Po kilku godzinach otworzyły się drzwi i stanął w nich znany mi warkschutz-volksdeutsch z karabinem na ramieniu i pistoletem w ręku. Nakazał nam wyjść i iść przed sobą jednocześnie ostrzegając, że gdy damy jeden krok w lewo albo prawo, to użyje broni. Poszliśmy pod eskortą ulicami 1-go Maja, Żeromskiego, Moniuszki, Traugutta aż do dworca, a następnie ul. Poniatowskiego, Dowkontta i do bramy fabryki od ul. Słonecznej. Wymieniam tę

[23] *Bandit* (niem.): bandyta.

[24] *Arbeitsamt* (niem.): urząd pracy. Z urzędów tych kierowano Polaków m.in. na przymusowe roboty w Rzeszy.

trasę specjalnie dlatego, że trasa wybrana przez werkschutza była długa i o tej porze (była godzina 16.00) bardzo ruchliwa, gdyż ludzie wracali z pracy z Waffenfabrik (Fabryki Broni), a wśród nich wielu moich znajomych. Werkschutzowi chodziło o efekt, który miał znaczyć: „Uważajcie, nie ważcie się opuszczać pracy, bo was znajdziemy i doprowadzimy jak tych". Rzeczywiście efekt był, ale odwrotny, gdyż mijający nas ludzie to Polacy, więc spoglądali z nienawiścią na werkschutza-volksdeuscha, sługę niemieckiego, dzierżącego na ramieniu karabin, a w ręku pistolet, postępującego za dwojgiem ludzi – Polaków i to bezbronnych.

Doprowadzono nas na wartownię fabryki, gdzie dowódca warty nakazał zamknięcie nas w „bunkrze". „Bunkier" był to opróżniony budynek magazynu, specjalnie dostosowany do więzienia „opornych" pracowników z małym, wysoko usytuowanym, zakratowanym okienkiem, bez światła elektrycznego, z pryczami bez sienników. Tu nas zamknięto. Nazajutrz mieliśmy stanąć przed obliczem szefa dyscyplinarnego z ramienia gestapo, który miał zadecydować o dalszym naszym losie. Poza nieznanym jutrem martwiliśmy się, co dzieje się z naszym dzieckiem – córką, mającą dwa i pół roku, która w momencie zabierania nas z domu spała. Żona chciała obudzić i zabrać ją również, ale gestapowiec powiedział, żeby jej nie brać, niech śpi: „Wy za pół godziny wrócicie do domu". Ta „półgodzina" przeciągnęła się na kilkanaście godzin.

Upłynęły dwie doby w rozterce - nie wiedzieliśmy bowiem nic, co dzieje się z naszym malutkim dzieckiem, które z rozkazu sługusa hitlerowskiego pozostawiliśmy na łasce Opatrzności. Usilne prośby matki, a mojej żony, o zezwolenie na pójście i zaopiekowanie się dzieckiem, lub oddanie go komuś z bliźnich, spotkał się z ponurym milczeniem. Los się do nas uśmiechnął. Po nieprzespanej ze zmartwienia nocy, wcześnie rano wezwano moją żonę i w milczeniu poprowadzono na wartownię. Tu spotkała ją miła niespodzianka. Zobaczyła pozostawioną córeczkę - zdrową i na widok matki uśmiechniętą, pod opieką sąsiadki. Pozwolono matce wziąć dziecko, które od tej chwili dzieliło z nami los, zamkniętych w bunkrze, pozbawionych wszelkich, nawet znośnych warunków życia. Jedynym pożywieniem [była] zupa ziemniaczana, o ile to można w ogóle nazwać zupą, soczewica, kawałek czarnego, gliniastego chleba. Widocznie sami „władcy" uznali za niemożliwe przebywanie tak małego dziecka w bunkrze z ludźmi dorosłymi, których wyprowadzano do pracy. Następnego bowiem dnia po przyprowadzeniu dziecka polecono nam wyjść

z bunkra i pod eskortą udać się przed oblicze szefa dyscyplinarnego, gestapowca, z którym nie było żartów.

Na pierwszy ogień poszła żona. Zasypana lawiną pytań, prawie tych samych co w siedzibie gestapo, nie załamała się. Kolej przyszła na mnie. Z uporem powtarzałem wyuczony na pamięć życiorys i ostatnie miesiące mojego pobytu na wolności. Po upływie kilku godzin, gdy uznano zapewne, że nie jestem groźny dla potężnego „mocarstwa hitlerowskiego", padły z ust szefa dyscyplinarnego sakramentalne słowa, będące wyrokiem: trzy miesiące pobytu w bunkrze, praca w fabryce pod nadzorem - 12 godzin na dobę. W tych warunkach pracowałem cały miesiąc. Jedyną moją pociechą w tym ciężkim okresie było zwolnienie mojej żony z powodu opieki nad małym dzieckiem i niezbyt ciężkiego przewinienia – oraz to, że nie potrafili wpaść na moje powiązania z siecią Armii Krajowej.

Po miesiącu pobytu w bunkrze - ponowne przesłuchanie i podpisanie oświadczenia ze wszelkimi szykanami i pogróżkami, [poczym] pozwolono mi opuścić bunkier i dochodzić do pracy z domu. Radość moja i rodziny nie miała granic. Trzeba było jednak być ostrożnym, bo nie wiadomo co sobie nowego „władza" wymyśli. Liczne aresztowania i mnie i moją rodzinę najbliższą ominęły szczęśliwie, ale za to już w lipcu 1944 r. opuściłem ponownie pracę, ukrywając się u kolegów towarzyszy pracy konspiracyjnej. Wpadałem do domu co pewien czas by odwiedzić najbliższych, bojąc się by nie padli ofiarą „nadludzi", czujących swój bliski koniec panowania. Krótkie zimowe dnie i niesłuchanie długie noce zimowe urozmaicał nam radosny dla nas pomruk dział dochodzących znad Wisły. To odgłosy wolności – tak bardzo przez nas upragnionej, wyśnionej.

Wypożyczalnia Główna w Radomiu
MM2478

Fotografie

Mieczysław Dąbrówka

Bolesław Dłużewski

Władysław Janiak

Stanisław Jastrzębski

Władysław Jastrzębski

Regina Kiełbowska

Ryszard Kiełbowski

Stanisław Kiełbowski

Lucjan Kociński

Tadeusz Kozerski

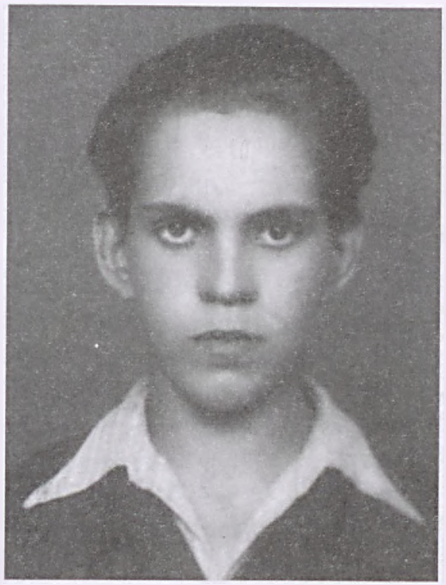

Marian Łozicki

Stanisław Łozicki

Pelagia Matuszewska

Bronisława Mróz

Jan Prokop

Edward Rajski

Edward Rogalski

Adam Rzeszot

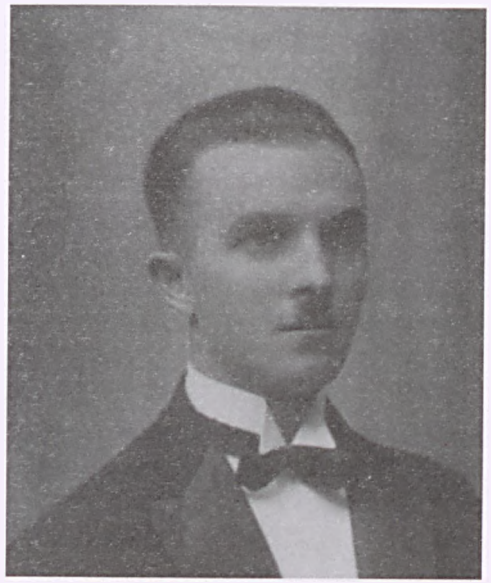

Jan Sapiński

Janina Schleimacher

Aurelia Szostak

Ada Winczewska

Henryk Winczewski

Jan Winczewski

Józef Winczewski

Jerzy Wojdacki

Egzekucja w Rożkach (12 października 1942 r.)

Egzekucja w Rożkach (12 października 1942 r.)

Egzekucja przy szosie kieleckiej (13 października 1942 r.)

Egzekucja przed Fabryką Broni (14 października 1942 r.)

Egzekucja przy szosie warszawskiej (15 października 1942 r.)

Pomnik ofiar egzekucji przed Fabryką Broni

Biblioteka im. Załuskich - RADOM
076498

20.00.

ISSN 01-37-5156